



Louis-Henri Boussenard

SEKRETY PANA SYNTEZY

Tom pierwszy



66

ISBN 978-83-68739-05-3 (całość)
ISBN 978-83-68739-06-0 (Tom pierwszy)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Louis-Henri Boussenard

Sekrety pana Syntezy



Louis-Henri Boussenard urodził się w Escrennes 4 października 1847 roku, a zmarł w Orleanie 11 września 1910 roku.

Był autorem powieści przygodowych, a także, podążając śladem Juliusza Verne'a, kilku fantastycznonaukowych. Za życia nadano mu przydomek francuskiego Ridera Haggarda, niezwykle poczytnego w tym czasie angielskiego autora powieści przygodowych. Obecnie jest bardziej znany w Europie Wschodniej niż w krajach frankofońskich (np. w Rosji wydano czterdzieści tomów jego utworów).

Po studiach medycznych poświęcił się pisaniu. Bardzo dużo podróżował po francuskich koloniach, zwłaszcza w Afryce. W tym czasie rząd francuski powierzył mu misję naukową w Gujanie. Podczas wojny francusko-pruskiej w 1870 roku szybko został ranny i tym przykrym doświadczeniem można tłumaczyć mocno nacjonalistyczne poglądy, którym dał wyraz w kilku swoich powieściach. Miał także negatywny stosunek do Anglików i Amerykanów, co wyjaśnia, dlaczego tak mało jego utworów przełożono na język angielski.

Jego opowiadania i powieści ukazywały się w licznych czasopismach, takich jak „Le Figaro”, „Le Petit Prisien”, czy „Journal des voyages”.

Bohaterowie jego powieści podróżują po całym świecie, są wystawiani na wszelkie niebezpieczeństwa, ale zawsze triumfuje dobro, a źli ludzie zostają ukarani.

Boussenard napisał bardzo dużo powieści, z których większość można ująć w cykle. Do najbardziej znanych należą: „Saga Friqueta (Wróbelka)” o przygodach paryskiego urwisa, cykl liczący 20 tomów (w Polsce ukazały się dwa pierwsze tomy: *W niewoli u ludożerców* i *Korsarze mórz południowych*); „Robinsonowie z Gujany”, liczący 9 tomów (w Polsce *Galernicy Gujany*, obejmujący dwa pierwsze tomy); „Bez Grosza”, liczący 5 tomów (w Polsce *Dusiele w Bengalu*, drugi tom cyklu); „Lodowe piekło”, zawierający 6 tomów (w Polsce: *Piekło wśród lodów* i *Kapitan Łamigłowa*); „Tajemnice Pana Syntezy”, liczący 4 tomy (w Polsce dwa tomy: *Tajemnica doktora Syntese* i *Niezwyczajna podróż doktora Syntese*), czy wreszcie cykl „Niebezpieczne Przygody Trzech Francuzów w Krainie Diamentów”, składający się z 3 tomów.

Louis-Henri Boussenard



SEKRETY PANA SYNTEZY

Tom pierwszy

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto siedemdziesiąta czwarta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Sześćdziesiąty szósty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Les secrets de Monsieur Synthèse

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2026

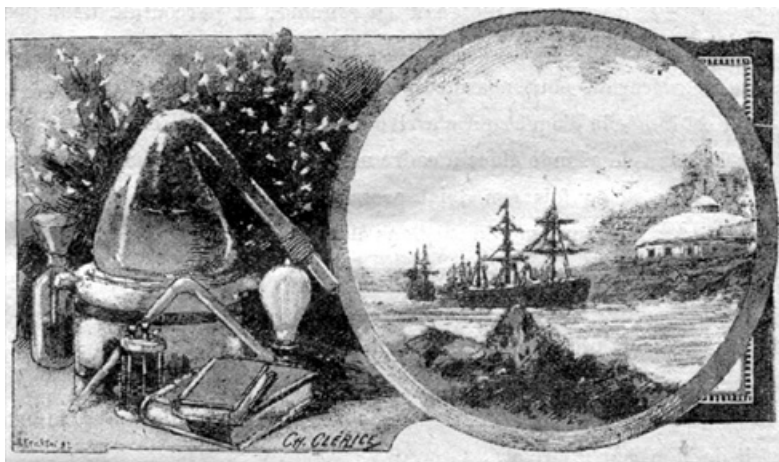
41 ilustracji, w tym 8 kolorowych: Charles Clérice

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja i korekta: Maria Sarnowska
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2026

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-68739-05-3 (całość)
ISBN 978-83-68739-06-0 (tom pierwszy)



PROLOG

Uczeni i policjanci

Rozdział I

W biurze prefekta policji – Skradziony portfel – Raport Numeru 27 – Pan Synteza – Kredyt w wysokości stu milionów – Człowiek, który żyje bez jedzenia i snu – Zamówienie i dostawa pięciuset skafandrów – Cios nożem – Agent numer 32 – Profesor od „substancji wybuchowych” – Alexis Pharmaque – Słowa ulatują, pisma są ukradzione – Ślad – Znowu pan Synteza – Tajemniczy dom przy ulicy Galvani – Zamknięte drzwi – Sztywna dyspozycja – Flota pana Syntezy – Wielkie Dzieło

Tego dnia, na początku kwietnia 1884 roku, prefekt policji wydawał się być w stanie gwałtownego niepokoju. Siedząc przed ogromnym biurkiem zasypanym papierami, przeglądał zawartość portfela i często przerywał tę czynność, aby podkręcić swoje cienkie, już posiwiałe wąsy lub przeczesać pukle włosów, harmonijnie ułożone za pomocą małego żelazka.

Następnie, gdy jego niecierpliwość raczej wzrosła, niż opadła, podrażniona tymi szarpaniami za włosy; gwałtownie wstał, kopnął

piętą krzesło, które odsunęło się z brzękiem, i zaczął chodzić nerwowymi krokami po gabinecie wyłożonym zielonym rypsem¹, tym niezmiennym rypsem, bez którego nie ma sztuki dekoracyjnej w naszych współczesnych administracjach.

– A ten głupi agent nie przychodzi! – burknął, spoglądając ukradkiem w duże lustro w czarnej ramie przymocowane nad kominkiem.

Po raz trzeci nacisnął przycisk z kości słoniowej, który uruchomił cały system elektrycznych dzwonków.

W tym samym momencie bardzo poważny odźwierny, gładko ogolony, z lśniącą czaszką, otworzył drzwi, zrobił trzy kroki z pewnego rodzaju uroczystą gorliwością i wydawał się zakorzenić w środku rozety na dywanie.

– Numer 27? – zapytał krótko prefekt.

– Numer 27 przybył punktualnie i właśnie czeka w przedpokoju na rozkazy pana prefekta.

– Niech wejdzie...!

– No dalej... pospiesz się! – powiedział, popychając wciąż uroczystego odźwiernego, którego nogi poruszały się z majestatyczną powolnością.

Następnie prefekt westchnął z zadowoleniem, usiadł w fotelu, przykrył zawsze otwartą teczkę bibułą, wziął pilnik do paznokci, aby nadać sobie powagę, przybrał poważną minę i czekał.

– Numer 27! – ogłosił odźwierny.

– Dobrze! Teraz nie ma mnie dla nikogo.

Następnie, dostrzegając nowo przybyłego mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, o inteligentnej ale wyjątkowo bladej twarzy, zwrócił się do niego szorstko, nawet nie odpowiadając na jego pozdrowienie:

– W końcu pan przyszedł! Jak to! Jest dziesiąta rano, a ja czekam na pana od wczorajszego wieczora...! Powierzyłem panu poufną, bardzo ważną misję, z wyraźnym zaleceniem, aby wykazał się pan jak największą starannością, a pan zostawił mnie na dwanaście godzin „głodnego jak wilk”!

– Ależ, panie prefekcie...

¹ *Ryps* – tkanina o wypukłych, drobnych prążkach.

– Milcz! Nie wiem jeszcze, czy wykonał pan swoje zadanie dobrze, czy źle, ale zamiast przybiec, bawisz się w gapienie i jak głupiec dajesz się okraść z portfela zawierającego moje instrukcje i raport, który jest dla mnie tak ważny!

Funkcjonariusz, szczerze zmieszany, widząc swojego szefa poinformowanego o szczególe, który, jak sądził, znał tylko on sam i złodziej, nie mógł powstrzymać gestu zaskoczenia.

Następnie ten gest, natychmiast stłumiony, został zastąpiony szybkim jak myśl wyrazem twarzy wskazującym na proces myślowy, który można sformułować w następujący sposób:

„Patrzcie...! Patrzcie...! Czy szef byłby silniejszy, niż myślałem? Czy on mi nie ufa? Czy to on sprawił, że ukradziono mi portfel? Ale po co!”

– No cóż! Nic pan nie powie...? Co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

– Że to prawda. Ukradziono mi portfel... Och, bardzo subtelnie, a łotr, który to zrobił, był sprytny. Jednak tylko na pół sprytny, bo mój łotr został okradziony jako pierwszy, ponieważ z jednej strony portfel nie zawierał ani grosza, a mój raport jest napisany szyfrem, do którego tylko ja posiadam klucz.

– Tak pan uważa? – zapytał ironicznie prefekt.

– Absolutnie, panie prefekcie.

– A gdybym pokazał panu ten dokument, a raczej jego tłumaczenie na poprawny język francuski, co by pan powiedział?

– Że to niemożliwe!

– Proszę, młody człowieku, oto oryginał napisany przez pana ołówkiem, a oto tłumaczenie... Zatrzymam to ostatnie... Proszę przeczytać na głos swoje sprawozdanie, a ja w tym czasie będę je porównywał.

Jednak funkcjonariusz, całkowicie oszołomiony, sądząc, że śni, pozostał jak skamieniały, z rękami przylegającymi do ciała, nawet nie widząc ruchu swojego szefa, który podawał mu papier.

Prefekt przez chwilę rozkoszował się swoim triumfem, po czym ponownie przemówił surowym głosem:

– Wydaje mi się, że czekam!



– Proszę, młody człowieku, oto oryginał napisany przez pana ołówkiem,
a oto tłumaczenie...

Numer 27 wydawał się dokładać ogromnych wysiłków, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł pot spływający po jego bladym obliczu, wziął papier i przeczytał zmienionym głosem:

Sprawa Syntezy.

Zgodnie z rozkazami mojego szefa starałem się zgromadzić informacje na temat tajemniczej postaci, która od około miesiąca stanowi dla paryskiego społeczeństwa swego rodzaju żywą zagadkę...

– Oto, jeśli się nie mylę, prawdziwa literatura z tanich gazet – przerwał ironicznie prefekt. – Ale proszę kontynuować... porównujemy... Krytyka nadejdzie w odpowiednim czasie.

– ...Ta postać, znana pod dziwnym nazwiskiem pana Syntezy, mieszka w Grand Hotelu. Pan Synteza jest wysokim starcem, którego wieku nie da się określić, ale pomimo swojej świeżości można zapewnić, że przekroczył już sześćdziesiątkę...

– Coraz bardziej przypomina to powieść w odcinkach – mruknął prefekt.

– ...Wydaje się być pochodzenia holenderskiego lub szwedzkiego – kontynuował Numer 27 – a jego życie jest niezwykle dziwne. Rzadko przyjmuje gości. Jego dwaj służący, odrażający Murzyni, prawdziwe cerbery¹, poddają odwiedzających swego rodzaju egzaminowi, pytają ich o hasła i surowo ich odprawiają, gdy odpowiedzi nie są zadowalające.

Mówi się, że pan Synteza jest maniakalnym naukowcem, zawsze zajęтым wypełnianiem czystych kartek wzorami chemicznymi i równaniami algebraicznymi, i że jest to jedyny powód tego surowego odosobnienia, jakie sobie narzucił.

¹ Cerber – srogi i czujny strażnik; od imienia mitologicznego trójgłowego psa czuwającego u wrót świata zmarłych, Hadesu.

Mówi się również, że jego majątek jest kolosalny, że w jego mieszkaniu najcenniejsze klejnoty: diamenty, szafiry i rubiny, leżą dosłownie wszędzie, a on sam posiada kilka skrzyń wypełnionych tymi kamieniami szlachetnymi.

Być może jest to nieco przesadzone, ale mogę potwierdzić, że posiada on kredyt w wysokości stu milionów w domu Rothschildów¹.

– Czy naprawdę pan powiedział: sto milionów?
– Informację tę uzyskałem od głównego kasjera.
– Do diabła! To jest pewne. Jego kamienie mogą być tylko zwykłymi kamieniami... ale złoto panów Rothschildów jest prawdziwe. Proszę kontynuować.

– ...Dodaje się, i wydaje się to nadmiernie potwierdzone przez zapewnienia pracowników hotelu, że pan Synteza nie je i nigdy nie śpi. Nie zszedł ani razu do restauracji hotelowej i nigdy nie zamówił sobie posiłku do swojego apartamentu. Jego czarni służby nigdy nie wnosili zapasów do hotelu i mówią każdemu, kto chce ich słuchać, że ich pan nie wie, czym jest sen. Poza tym w apartamencie nie ma łóżek, kanap ani szezlongów². Te bardzo dziwne osobliwości mogłyby wystarczyć, aby zwrócić dyskretną uwagę władz na tę postać...

– Ma pan rację, a pańska literatura czasami jest warta zachodu. Dyskretna uwaga... tak, właśnie tak... Trzeba być dyskretnym wobec ekscentryka, który może zarobić sto milionów, a jednak warto coś o nim wiedzieć.

– ...Dyskretnej uwadze władz – powtórzył Numer 27, zadowolony z aprobaty swojego szefa – gdyby ten niezaprzeczalny fakt, ponieważ należy do sfery rzeczywistego życia, nie pojawił się w tej tajemniczej egzystencji.

¹ *Rotschild* – któryś z przedstawicieli sławnej rodziny finansistów.

² *Szezlong* – kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji półleżącej.

Pan Synteza, kilka dni po przybyciu do Paryża, skontaktował się z ważną firmą Denayrouze i Rouquayrole¹ i złożył zamówienie na pięćset skafandrów nurkowych.

Te udoskonalone urządzenia są wyposażone w zbiornik o wymiarach zbliżonych do plecaka żołnierza. Powietrze do oddychania, magazynowane w tym zbiorniku pod wysokim ciśnieniem, może zaspokoić potrzeby nurka przez sześć godzin. Pompy służące do wtłaczania powietrza do oddychania, a także rury łączące się z urządzeniami, zostały w ten sposób wyeliminowane, a człowiek, zabierając ze sobą zapas powietrza, ma pełną swobodę ruchów i działania. Skafandry te nazywane są „niezależnymi”.

Dostawa została zrealizowana pięć dni temu na dworzec Saint-Lazare, opłacona gotówką i wysłana do Hawru specjalnym pociągami. Pięćset aparatów jest już załadowanych do ładowni dużego parowca „Anna”, zacumowanego przy nabrzeżu basenu Eure.

– To wszystko, nieprawdaż?

– Na razie to wszystko, panie prefekcie.

– Dobrze! Pańskie hieroglify są w pełni zgodne z moim tłumaczeniem. Nie mam żadnych zastrzeżeń do treści tego raportu, który miło rekompensuje mi prozę, do której przyzwyczaili mnie moi pomocnicy.

Jest to zresztą dopiero początek śledztwa. Nie wątpię, że wkrótce uda się panu wydobyć z tej serii tajemnic solidną i merytoryczną notatkę policyjną, rygorystyczną jak równanie, i w sposób satysfakcjonujący wyjaśnić wszystkie te zjawiska. Ale proszę być niezwykle ostrożnym i nie dać się już więcej głupio okraść...

– Och! Panie prefekcie, nie dla przyjemności zostałem okradziony z mojego portfela i dźgnięty nożem...

¹ Auguste Denayrouze (1837-1883) – u L. Boussenarda: Denayrouze, francuski oficer marynarki i wynalazca, w roku 1864 wraz z Benoît Rouquayrolem (1826-1875), francuskim inżynierem górniczym uzyskał patent na skafander nurkowy jako pierwszy dozujący powietrze podczas nurkowania i pozwalający na niezależne ruchy pod wodą, bez połączenia z pompą.

– Pan! Dźgnięty nożem... Gdzie? Kiedy?

– Wczoraj wieczorem, o dziewiątej, około pół godziny po kradzieży, wracałem do domu, bardzo poruszony, aby napisać z pa-mięci drugi raport. Mieszkam, jak pan wie, przy nabrzeżu Béthune¹. Nieznajomy, który siedł tuż za mną, nagle mnie wyprzedził, zatrzymał się przede mną, przez chwilę mi się przyglądał, po czym wyciągnął rękę i uderzył mnie z całej siły.

Poczułem się, jakbym otrzymał cios pięścią w klatkę piersio-wą... Krzyknąłem... Zobaczyłem tańczące płomienie latarni gazo-wych, a potem upadłem na chodnik. Nieznajomy uciekł, a na mój krzyk podbiegło dwóch policjantów. Podnieśli mnie, przywrócili do przytomności. Przedstawiłem się im, a oni zabrali mnie do szpi-tala Hôtel-Dieu².

Dyżurny internista opatrzył mi ranę, stwierdził, że nie stanowi ona żadnego zagrożenia, nalegał jednak, aby zatrzymać mnie na noc, a pół godziny temu wypuścił mnie do domu. Oto, panie pre-fekcie, dlaczego nie mogłem stawić się przed panem o wyznaczo-nej godzinie.

– Ach, mój biedny chłopcze, czemu nie powiedziałeś tego wcze-sniej! Jak to, pchnięcie nożem! A więc to prawda, że w Paryżu do-chodzi do morderstw?

– Tak się wydaje, panie prefekcie.

– To znacznie komplikuje sytuację. A propos, nie ma sensu dłu-żej trzymać pana w niepewności. Zna pan ten portfel?

– To jest mój portfel.

– Mężczyzna, który go panu ukradł, został zatrzymany jakiś czas później podczas bójki i przewieziony na komisariat. Przeszu-kano go i znaleziono przy nim ten notes z pańską legitymacją służ-bową oraz różne dokumenty, które komisarz miał na tyle rozsądku, aby mi natychmiast przesłać. Znalazłem pański raport i kazałem go rozszyfrować jednemu z moich pracowników... To wszystko jest oczywiste. Jednak znacznie mniej jasna, a dla pana nie mniej

¹ *Nabrzeże Béthune* – nabrzeże położone wzdłuż Sekwany na wyspie Świętego Lu-dwika w 4. okręgu Paryża.

² *Szpital Hôtel-Dieu* (Boże Schronienie) – szpital położony na Île de la Cité w 4. okręgu Paryża; założony w 651 roku jest najstarszym paryskim szpitalem.

nieprzyjemna, jest próba, której padł pan ofiarą. Czy nie ma związku między tymi dwoma faktami?

– Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

– Cóż, zobaczymy. Na razie proszę zachować spokój; proszę pozostać w domu przez kilka dni, ponieważ sądzę, że jest pan „spalony”. Na czas oczekiwania, oto rekompensata dla pana.

Po tych słowach prefekt otworzył sejf, wyjął garść luidorów¹ i włożył je do ręki agenta, który obsypał go podziękowaniami.

– Jeszcze jedno słowo, zanim pan odejdzie. Usiądź pan na chwilę, bo jesteś zmęczony. Powiedz mi, jaka jest pańska osobista ocena dostawy pięciuset skafandrów? To wydaje się obecnie kluczową kwestią. Nie ma dla nas znaczenia, że pan Synteza nie je i nie śpi! Ma pełną swobodę, by powtórzyć eksperymenty doktora Tannera² i prześcignąć ekscentrycznego Amerykanina. Ale kombinemy!

– Ma pan rację, panie prefekcie. Żadna osoba prywatna, nawet gdyby była generalnym dzierżawcą wszystkich łowisk przy Cejlonie lub oszałała na punkcie perspektywy zostania jedynym właścicielem akcji Vigo³, czyli nawet gdyby była arcymilionerem lub arcyszaleńcem, nigdy nie pomyślałaby o zamówieniu wyposażenia dla tej przyszłej armii nurków...

– To prawda! Pułk, jeśli nie armia nurków!

– Moim zdaniem, skoro zaszczycił mnie pan prośbą o wyrażenie opinii, dobrze byłoby nałożyć embargo na „Annę”, parowiec pana Syntezy.

– To poważna sprawa i muszę zgłosić ją ministrowi. Z drugiej strony należy sprawdzić, czy ta osoba jest obcokrajowcem, aby nie narazić się na niepotrzebne komplikacje dyplomatyczne. Nie można jednak pozwolić na wywiezienie z francuskiego portu pięciuset skafandrów bez wiedzy, gdzie trafią.

¹ *Luidor* (fr. *louis*) – główna jednostka monetarna Francji do roku 1792; po reformie określano tak 20 franków.

² Henry Samuel *Tanner* (1831-1918) – amerykański lekarz i zwolennik postu; w 1880 roku podjął 40-dniowy post w Nowym Jorku pod nadzorem swoich kolegów z Nowojorskiej Akademii Medycznej.

³ *Zatoka Vigo* – zatoka morska w hiszpańskiej prowincji Galicia; tu chodzi o rzekomy skarb na zatopionych statkach podczas bitwy morskiej w zatoce Vigo (pod Randą) w 1720 roku między flotami angielsko-holenderską a hiszpańsko-francuską.

Przechodzimy obecnie przez rodzaj kryzysu, którego przejawy przybierają różne formy... Kryzysy polityczne, rolnicze, finansowe, handlowe... Jest wielu niezadowolonych... Ludzie spiskują, partie się burzą, narody zbroją się... Prywatne osoby są zazdrosne o siebie nawzajem... Narody się nienawidzą...

Czy ta tajemnica, która nas obecnie intryguje, nie jest jakąś niewidzialną nicią powiązaną z tym stanem stagnacji, który łatwiej jest odgadnąć niż sformułować? Kto wie, czy nie jesteśmy na tropie spisku przeciwko istnieniu władcy lub bezpieczeństwu narodu...?

Prefekt policji musiał być naprawdę bardzo zdezorientowany, skoro pozwolił sobie na monolog przed swoim skromnym współpracownikiem. Kiedy w końcu zdał sobie sprawę, że myśli na głos, nagle przerwał swoją tyradę i odprawił Numer 27, ponownie zalecając mu jak największą ostrożność.

Chciał wykorzystać tę rzadką chwilę samotności, aby ponownie przeanalizować zagadkę, której słowem kluczowym był pan Synteza, kiedy ponownie pojawił się odzwierny, nadal poważny i uroczysty.

– Numer 32 czeka w małym gabinecie – powiedział łagodnym głosem.

– Proszę go wprowadzić – odpowiedział prefekt z rezygnacją człowieka, który wie, że nie jest panem swojego czasu. – Patrzenie, to pan! Myślałem, że jest pan w Szwajcarii, zajęty obserwowaniem nihilistycznych uciekinierów.

– Wróciłem tydzień temu.

– I jeszcze pana nie widziałem?

– Śledziłem osobę, która sprawiała mi sporo kłopotów, a ponieważ sam byłem śledzony, nie wiedząc dokładnie przez kogo, uznałem, że nie byłoby rozsądne pojawiać się w „Domu”.

– W porządku, co nowego?

– Wiele nowego, panie prefekcie.

– Czy ma pan szczegółowy raport?

– Raport ustny, panie prefekcie.

– Dlaczego nie jest napisana notatka?

– Ponieważ przysłowie: *Verba volant, scripta manent* jest fałszywe, jak większość przysłów, a które znaczy: słowa ulatują, to co zostało napisane, pozostaje...

– To prawda. Proszę opowiedzieć mi swoją historię i nie obawiać się podawać szczegółów. Wszystko, co dotyczy czynów i zachowań osób, które ma pan nadzorować, ma ogromne znaczenie.

– Od pięciu tygodni przebywałem w Genewie i dzięki agentom, których moskiewska policja utrzymuje w mieście, byłem doskonale poinformowany o działaniach i zachowaniach uchodźców. Moje zadanie było zresztą łatwe, ponieważ musiałem zajmować się tylko tymi, którzy przyjeżdżali do Francji lub wracali z Francji do Szwajcarii.

Szczególnie zainteresowała mnie osoba o dziwnym wyglądzie, niespójnym zachowaniu, co najmniej wątpliwej narodowości, ale o doskonale określonym zawodzie. Był chemikiem, ale chemikiem, jakich już nie spotyka się, który wydawał się pochodzić z jednego z tych laboratoriów pełnych retort, kolb, barokowych urządzeń i wypchanych słomą krokodyli, w których średniowieczni alchemicy zajmowali się swoją magią. Wszystko w nim było niezwykle, łącznie z nazwiskiem, które od razu mnie uderzyło. Nazywał się, a raczej nazywa się Alexis Pharmaque.

– Ależ to nie jest nazwisko, to gra słów. „Alexipharmaque”, pisane razem oznacza, jak sądzę, odtrutkę, lekarstwo na chorobotwórczą substancję.

– Słownik Pierre’a Larousse’a¹ udzielił mi informacji na ten temat.

– To może być tylko pseudonim.

– Bardziej niż prawdopodobne. W każdym razie mój Alexis Pharmaque posiadał w zacisznym domu na skraju przedmieścia wspaniale wyposażone laboratorium, w którym od rana do wieczora i od wieczora do nocy wytwarza całą gamę znanych i nieznanymi materiałami wybuchowych.

– Do diabła!

¹ Pierre Larousse (1817-1885) – francuski redaktor i encyklopedysta, w roku 1852 założył wydawnictwo Librairie Larousse, w którym ukazywały się różne słowniki, w tym języka francuskiego; jego główne dzieło, 17-tomowy *Grand dictionnaire universel du XIXe siècle* (*Wielki słownik powszechny XIX wieku*) 1866-1877, zdobyło wielką popularność.

– Pioruniany, piroksyliny, nitrobenzen, belinit, seranina, petrolit, sebastyna, panklastyt, matazietta, tonit, glonoina, dynamit, dualina, glikoksylina, saxifragina, niszczyielska żelatyna i wiele innych, których nazw nie znam – eksperymentował ze wszystkimi i żył spokojnie jak bóg Terminus¹, pośród tych grzmotów w butelkach.

W międzyczasie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, uczył chemii rosyjskich uchodźców, a zwłaszcza tej części nauki, która dotyczy substancji wybuchowych. Byłem jednym z jego uczniów, jeśli nie najbystrzejszym, to przynajmniej najbardziej gorliwym.

Życie naszego profesora upływało w absolutnym spokoju, niezakłócone w żaden sposób przez niepewne i co najmniej kontrowersyjne eksperymenty, aż pewnego dnia nieoczekiwane wydarzenie całkowicie je zmieniło. List, zwykły list, który przybył pewnego pięknego poranka z Francji, wyrwał pana Alexisa Pharmaque’a z jego laboratorium, od jego formuł i eksperymentów.

„Wzywają mnie do Paryża – powiedział bez wstępów. – Wybitny naukowiec wzywa mnie do siebie. Otrzymam wspaniałe wynagrodzenie, co nie ma dla mnie większego znaczenia, ale będę miał możliwość zajmowania się chemią transcendentalną² jako asystent pana Syntezy, którego nazwisko...”

– Co takiego! – przerwał oszołomiony prefekt policji. – Powiedział pan: pan Synteza?

– Tak, panie prefekcie. Cóż za dziwne nazwisko, obok tego nazwiska Alexis Pharmaque! Prawdopodobnie kolejny pseudonim... Ci uczeni nie potrafią robić nic tak jak wszyscy inni!

Bez dalszej zwłoki nasz profesor pożegnał się z nami, za śmieszoną sumkę pozostawił swoje laboratorium jednemu z Rosjan, spakował swoje rękopisy do kufra i wsiadł do pierwszego pociągu do Paryża.

¹ *Terminus* – w mitologii rzymskiej bóg granic między prywatnymi posiadłościami, ale przede wszystkim granic państwowych. Był również bóstwem opiekuńczym samych znaków granicznych, które po łacinie nosiły tę samą nazwę co bóstwo i były z nim czasem utożsamiane.

² *Transcendentalny* – znajdujący się poza zasięgiem ludzkiego doświadczenia i poznawalnego świata.

Wyczuwając przygodę, zmieniłem wygląd, aby podróżny mnie nie rozpoznał, wsiałem do tego samego pociągu i wróciłem z nim do Francji.

– Bardzo dobrze...! Bardzo dobrze.

– Po przyjeździe do Paryża śledziłem mojego człowieka, który zabrał mnie powozem na ulicę Galvani¹, nową ulicę biegnącą od ulicy Laugier do bulwaru Gouvien-Saint-Cyr. Pojazd zatrzymał się przed wysokim murem ogrodzenia z małą furtką i szeroką bramą z dwoma żelaznymi skrzydłami. Po pierwszym dzwonku otworzyły się szeroko, a potem zamknęły za powozem, dając mi ledwie czas, by dostrzec między podwórkiem a ogrodem przestronny parterowy dom i rozciągające się dalej budynki gospodarcze.

Przez godzinę czekałem na próżno, aż fiaker wyjedzie; zmęczony walką musiałem wrócić do domu, obiecując sobie, że wyjaśnię sprawę następnego dnia, z samego rana.

W zasadzie wydaje się to bardzo łatwe – wejść do paryskiego domu, porozmawiać z ludźmi i uzyskać informacje o jego mieszkańcach. Dla nas to podstawy naszego zawodu.

Jednak musiałem znacznie obniżyć swoje oczekiwania w obliczu bezlitośnie zamkniętych drzwi, irytującego milczenia ludzi, którzy nie chcieli nic powiedzieć, nieugiętych zasad i absolutnej nieprzeniknioności ludzi i rzeczy. Oczywiście wciągnęło mnie to, tym bardziej, że widziałem, jak tajemnica staje się coraz bardziej nieprzenikniona.

Wykorzystywałem wszelkie preteksty, powiedziałbym nawet, że wszelkie środki, aby zdobyć informacje na miejscu lub przynajmniej się tam dostać. Zostałem kolejno posłańcem, telegrafistą, inspektorem gazowym i wodociągowym miasta... Musiałem ponieść koszty przebrania.

Ledwie zadzwoniłem do przeklętych drzwi, pojawił się wielki diabeł w liberii, który zwrócił się do mnie w języku dla mnie niezrozumiałym; a gdy próbowałem mówić do niego po francusku, odprawił mnie z krzywym uśmiechem, który sprawiał, że wyglądał jak buldog.

¹ *Ulica Galvani* – ulica publiczna położona w 1. okręgu Paryża; zaczyna się pod numerem 65 przy ulicy Laugier i kończy pod numerem 19 przy bulwarze Gouvion-Saint-Cyr.

Wściekałem się tym bardziej, że widziałem, w mniej więcej nieregularnych odstępach czasu, powóz zaprzężony w czarnego konia, szybkiego jak wiatr, z podniesionymi drzwiami, wjeżdżający galopem przez bramę, która otworzyła się i zamknęła, że tak powiem, automatycznie. Ponieważ nie widziałem, żeby wyjeżdżał stamtąd, tak samo jak fiakier mojego byłego nauczyciela, doszedłem do wniosku, że istnieje wyjście prowadzące na bulwar Gouvion-Saint-Cyr.

To właśnie tam ustawiłem się na posterunku tego popołudnia, w powozie zaprzężonym w doskonałego konia i powożonym przez jednego z naszych agentów.

– To dobrze – przerwał prefekt, coraz bardziej zainteresowany.

– Na honor, moja cierpliwość została nagrodzona nawet wcześniej, niż się spodziewałem. Nie minęła godzina, odkąd się tam ustawiłem, gdy nagle otworzyły się drzwi w wielkim murze, który, jak sądziłem, otaczał leżący odłogiem grunt: pojawił się powóz i pomknął jak strzała.

Mój woźnica, wcześniej wyposażony w odpowiednie instrukcje, bezzwłocznie ruszył za nim, nie zważając na to, że jego koń może się zajechać, byle tylko nie stracić z oczu szaleńczego rumaka. Po fantastycznej przejażdżce przez Paryż dotarliśmy do rogu placu Sorbonne¹, naprzeciwko wielkich zakładów chemicznych Fontaine et Cie, i miałem szczęście zobaczyć wysiadającego Alexisa Pharamaque’a we własnej osobie.

Pozwoliłem mu wejść do magazynu, a sam zacząłem przechadzać się po chodniku, udając beczynnego spacerowicza. Wykorzystałem moment, w którym mój człowiek wyszedł po załatwieniu spraw, aby lekko go potrącić, jakby przez nieuwagę.

– Och, to pan, drogi mistrzu! – zawołałem z radością.

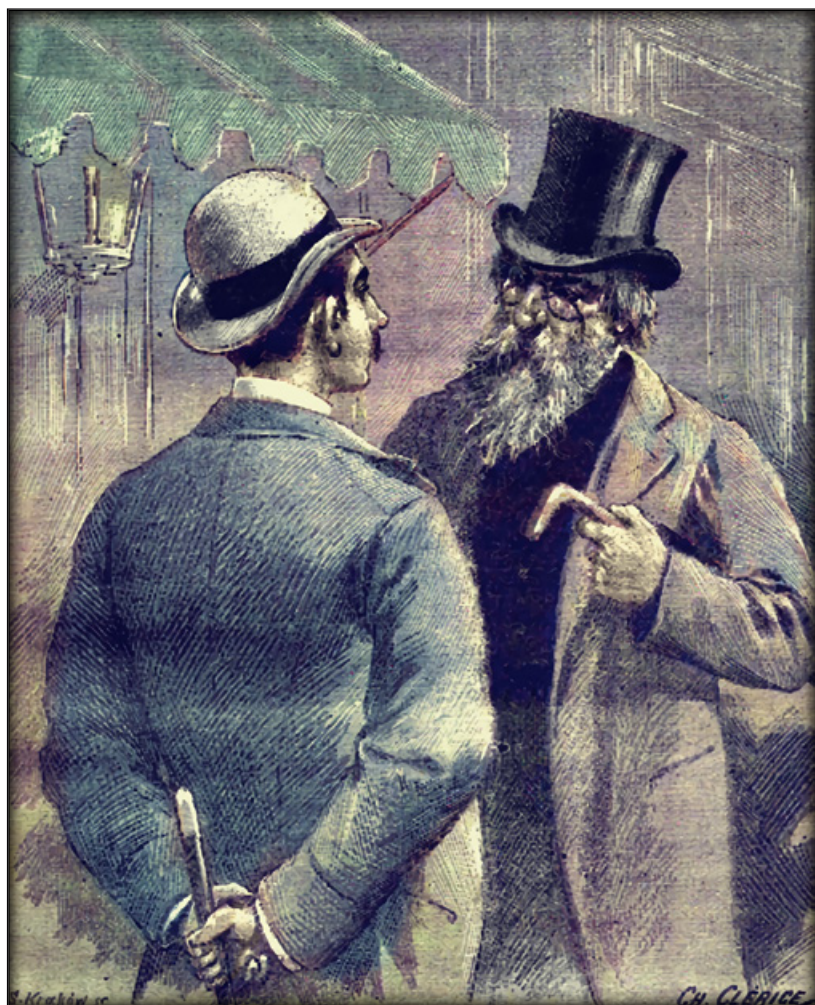
– Ach, drogi panie... pan tutaj...! Jak to się stało?

– Zostałem wezwany do Paryża z powodu poważnej choroby mojego ojca i przyszedłem zapisać się do sekretariatu wydziału nauk ścisłych.

– Nadal pan studiuje?

– Cóż, pod pańskim fachowym kierownictwem polubiłem chemię i chcę kontynuować te tak dobrze rozpoczęte studia.

¹ Plac Sorbonne – plac położony w dzielnicy Sorbona w 5. okręgu Paryża.



– Ach, drogi panie... pan tutaj...! Jak to się stało?

– To wspaniale, gratuluję panu.

– A pan, drogi mistrzu, co u pana słyszać?

– Och, ja jestem u szczytu swoich marzeń. Proszę sobie wyobrazić, że kieruję laboratorium wielkości Sorbony i Collège de France¹ razem wziętych, że mam do pomocy wybitnych chemików, a moim patronem jest najwspanialszy człowiek na obu półkulach.

– Tak, pan Synteza. Przypomniałem sobie ten dziwny pseudonim osoby, która w zeszłym tygodniu wezwała pana z Genewy.

– Chodzi panu o jego prawdziwe nazwisko. Cudowna, wysublimowana, nieporównywalna istota, bardziej uczona niż sama Biblioteka Narodowa, bogatsza niż wszyscy finansiści świata, potężniejsza niż wszyscy monarchowie i książęta wymienieni w kalendarzu z Gotha!²

– A więc, dodałem na wszelki wypadek, zrezygnował pan ze specjalnych badań nad substancjami wybuchowymi?

– Ależ mój drogi, to są dziecinne sprawy, skoro stoimy u progu podjęcia gigantycznego, niespotykanego, niewiarygodnego dzieła, którego sama idea budzi we mnie podziw, a nawet przerażenie. Nie potrafię znaleźć słów, aby opisać moje uczucia, ponieważ słowa są tylko słowami, a mój język nie jest w stanie wyrazić myśli, które przepełniają mój umysł. Poza tym ta tajemnica nie należy do mnie i nie mogę powiedzieć panu nic więcej. Wiedz tylko, że wkrótce usłyszysz o nas; że nazwisko pana Syntezy i jego skromnych współpracowników rozbrzysknie na całym świecie jak meteor, kiedy zrealizujemy Wielkie Dzieło, genialną koncepcję naszego wspólnego mistrza! Ale teraz muszę odejść... Żegnaj pan, a raczej do zobaczenia. Czas mnie goni, a mam jeszcze tyle do zrobienia, aby zakończyć ostatnie przygotowania!

– Czy wkrótce pan gdzieś wyjeżdża?

¹ *Collège de France* (Kolegium Francuskie) – wyższa szkoła mieszcząca się w Paryżu, założona w 1530 roku przez francuskiego króla Franciszka I (do 1795 roku nosiła nazwę Collegium Regium Galliarum); jej założeniem było zdobywanie wiedzy, a nie stopni naukowych.

² *Kalendarz z Gotha* (niem. *Gothaische Hofkalender*) – znany, coroczny informator, opublikowany po raz pierwszy w roku 1763 przez dom wydawniczy mieszczący się w miejscowości Gotha w Niemczech; ukazywał się do II wojny światowej.

– Za osiem lub dziesięć dni, z ogromną ekipą. Cztery statki, dobrze pan słyszy, cztery wielkie parowce, dosłownie wypełnione wszelkiego rodzaju środkami chemicznymi, nieznanymi maszynami, cudownymi urządzeniami, będą przewozić pana Syntezę i jego pomocników...

– To niesamowite...!

– Dobrze powiedziane, niesamowite. Aby dać panu proste i bardzo ogólne pojęcie o znaczeniu tego przedsięwzięcia, powiem ci, że między innymi akcesoriami jeden z naszych statków przewiezie pięćset skafandrów...!



Rozdział II

Zastrzeżenia prefekta policji – W Grand Hotelu – Stan cywilny pana Syntezy – Bhilisi z Hindustanu – „Dokumenty” pana Syntezy – Poświadczenia szlacheckie – Jeden z dyplomów *in folio* – Autografy władców – Witryna z odznaczeniami – Pan Synteza chętnie przyznaje, że fabrykuje diamenty – „To wszystko prawda, proszę pana”! – Projekt komunikacji międzygwiazdnej – Półtora miliarda robotników ziemnych – Przesunięcie osi Ziemi – „Jeśli planeta nie przyjdzie do mnie, ja pójdę do planety” – Właściciel ziemski Ziemi – „Śpię i jestem głodny”

Prefekt policji był coraz bardziej zaintrygowany tajemnicą otaczającą pana Syntezę.

Pomimo wielu absorbujących obowiązków związanych z pełnieniem funkcji głównego szefa paryskiej policji i mandatu deputowanego, jego myśli nieświadomie wracały do tego dziwnego człowieka, którego enigmatycznej osobowości nie zdołali odkryć jego agenci. Nie była to już tylko troska, ale wręcz obsesja. Rozdarły między zawodową chęcią poznania prawdy a obawą przed popełnieniem błędu, wahał się, zwlekał, denerwował się i nie osiągał żadnych postępów.

Od pewnego czasu atakowany przez prasę wszystkich partii, która nie oszczędzała mu ani złośliwości, ani ciosów, zarzucała mu wyniosłe zachowanie, szorstki ton, dyktatorskie maniery, instynktownie czuł, że reporterzy o oczach Argusa¹ są na tropie jakiejś niezdarności, zwykłego braku taktu, drobiazgu, aby ponownie wystawić go na pośmiewisko i zrobić sobie kosztem niego żarty, które rozbawią publiczność obu światów.

Ach! Gdyby coś takiego miało miejsce na początku jego kariery, kiedy pełen zapału nowicjusza nie znał przeszkód, trudność zostałaaby szybko rozwiązana. Niestety dla niego, miał na swoim koncie kilka drobnych nadużyć władzy, które po tym, jak zostały ostro wypunktowane i wyolbrzymione w dziennikach, przyniosły

¹ *Argus* – w mitologii greckiej olbrzym o stu wiecznie czuwających oczach, któremu Hera powierzyła straż nad nimfą Io.

mu w prywatnej rozmowie tę nieprzychylną uwagę, sformułowaną z powagą przez ministra spraw wewnętrznych:

– Niech pan nie wykazuje niepotrzebnej gorliwości, mój drogi, a przede wszystkim niech pan będzie sprytny.

Być sprytnym, oto był problem. Robić wszystko, mówić wszystko, pod warunkiem, że nie będzie się plotkować. W Izbie podszedł na korytarzu do ministra i otworzył usta, aby podzielić się z nim swoimi wątpliwościami. Chociaż niełatwo było go zastraszyć, milczał ostrożnie, obawiając się, że jego szef odpowie mu kwaśnym i ostrym tonem:

„Hej, mój drogi, jesteś prefektem policji, sprawujesz nieograniczoną władzę, więc radź sobie sam, do diabła!”

Radzenie sobie jest łatwiejsze do powiedzenia niż do zrobienia w sytuacji, którą raporty agentów zrobiły tylko mętniejsze.

Czy w końcu pan Synteza mieszka w Grand Hotelu czy w tajemniczym domu przy ulicy Galvani? Ten uczony, a zarazem bogacz, ten ekscentryk, który nie śpi ani nie je, który posiada flotę parowców, dowodzi małą armią naukowców i w końcu powołuje do siebie, aby uczynić go swoim totumfackim, człowieka, który niegdyś żył w bliskim kontakcie z rosyjskimi nihilistami, czy jest on tą samą osobą? A może osobowość pana Syntezy służyła jedynie jako przykrywką dla grupy bezimiennych istot, działających w ukryciu, być może przestępczym celu?

Jeśli nie, to skąd ta izolacja, te nieugięte zasady, podwójne miejsce zamieszkania, szybkie jak wiatr powozy, laboratorium ukryte przed wzrokiem wszystkich, maszyny bez nazwy i bez widocznego przeznaczenia... Skąd wreszcie ta niewiarygodna ilość aparatów do nurkowania...?

Prefekt policji, coraz bardziej ogarnięty obsesją, pozwalał sobie na formułowanie niekończącej się serii „dlaczego?”, nie potrafiąc znaleźć ani jednego logicznego lub choćby dopuszczalnego „ponieważ”.

– No cóż! – powiedział w końcu zdecydowanym tonem człowieka, który właśnie podjął decyzję, niech się dzieje, co chce, sam zajmę się tą sytuacją i, jeśli będzie trzeba, zaryzykuję wszystko.

W każdej chwili słyszę, że moje stanowisko jest zagrożone, więc zamierzam się tego dowiedzieć. Zamiast powierzać dalszy ciąg sprawy bojaźliwym lub nieudolnym agentom, chcę bezzwłocznie zająć się tą sprawą osobiście. Jak dotąd mi się to udawało, niezależnie od tego, co sądzą moi drodzy wrogowie z paryskiej i departamentalnej prasy. Spotkam się z panem Syntezą i po rozmowie, której nie może odmówić ani prefektowi policji, ani posłowi, podejmę decyzję.

Zadzwoił bez wahania, jakby chciał pozbawić się czasu na zastanowienie, poprosił o swój pojazd i powiedział do woźnicy:

– Do Grand Hotelu!

Kilka obrotów kół zaprowadziło go do wspaniałego karawanse-
raju¹, gdzie nieustannie krząta się kosmopolityczny tłum przybyły ze wszystkich stron świata.

Jako człowiek ostrożny, który chce pozostawić jak najmniej miejsca na przypadek, wezwał jednego z kierowników hotelu, przedstawił się i poprosił go o rejestr, w którym zapisywane są nazwiska podróżnych, a zwłaszcza o kartę, na której powinna znajdować się wzmianka o przybyciu pana Syntezy.

Oto co przeczytał:

Pan Synteza Élias-Alexander, urodzony 4 października 1802 roku w Sztokholmie, Szwecja. Ostatnie miejsce zamieszkania: Kalkuta.

Panna Anna van Praët, urodzona 1 stycznia 1866 roku w Rotterdamie, Holandia. Ostatnie miejsce zamieszkania: Kalkuta.

Dwaj murzyńscy służący

Zameldowani w hotelu 26 stycznia 1884 roku.

– Dobrze, dziękuję! To wszystko, co chciałem wiedzieć. A propos, kim jest ta młoda osoba, panna van Praët?

– To wnuczka pana Syntezy.

– Bardzo dobrze. Proszę zaprowadzić mnie do mieszkania pańskich gości.

¹ Karawanseraj – na wschodzie: dom zajezdny; tu w przenośni.

– Znajduje się ono na drugim piętrze, od strony ulicy; czy chce pan skorzystać z windy?

– Nie, dziękuję – odpowiedział roztargniony prefekt, podążając za służącym, który miał go zaprowadzić. Następnie rzekł do siebie: – Osiemdziesiąt dwa lata...! i Szwed... Być może jakiś mistyk, wyznawca Swedenborga¹, jakiś marzyciel z umysłem zamglonym rodzimymi mgłami...

Jak każdy szanujący się Francuz, który interesuje się filozofią lub literaturą, prefekt policji nie mógł nie znać nazwiska Swedenborga, tego dziwnego człowieka, który był nie tylko wizjonerem, ale także wybitnym naukowcem. Ale to było wszystko, co wiedział o Szwecji.

Zresztą można być przeciętnym prawnikiem, czasem błyskotliwym mówcą i nie wiedzieć, że Skandynawia, gdzie talentów jest pod dostatkiem, może się pochwalić między innymi Linneuszem², Berzelusem³, Santessonem, Hussem⁴, Achariusem⁵, Swanbergiem, Retziusem⁶ itp., nie wspominając już o Eliasie Syntezie.

¹ *Emanuel Swedenborg* (przed nobilitacją Swedberg, 1688-1772) – szwedzki filozof i uczony; w latach 40. przechodził kryzys psychiczny, po którym odrzucił kartezjańsko-materialistyczne rozumienie świata i poddał się wizjonerskiemu „objawieniu”; wychodząc z założenia, że objawienie ma charakter boski, opisał jego treść dotyczącą struktury metafizycznej świata oraz bytu po śmierci; swoją wiarę w życie pozaziemskie deklarował w różnych pracach, zagadnieniu temu w całości poświęcił dzieło *De telluribus in mundo nostro solari...* (1758). Jacques Henri Bernardin de Saint-Pierre (1737-1814) – francuski pisarz, znany głównie jako autor krótkiej powieści *Paweł i Wirginia*, opowiadającej o niewinnej miłości dwojga ludzi na wyspie; w opublikowanej pośmiertnie książce *Harmonies de la nature* (1815) dowodził istnienia życia nie tylko na innych planetach, ale także na Księżycu, Słońcu i kometach.

² *Linneusz* (Carl von Linné, 1707-1778) – przyrodnik szwedzki; twórca systemu klasyfikacji organizmów; autor binominalnego nazewnictwa biologicznego; opisał wiele nowych gatunków roślin i zwierząt.

³ *Jöns Jacob Berzelius* (1779-1848) – szwedzki chemik, lekarz i mineralog. Laureat Medalu Copleya.

⁴ *Magnus Huss* (1807-1890) – szwedzki lekarz, autor dzieła *Alcoholismus chronicus* (wyd. 1852), w którym po raz pierwszy w historii sformułował koncepcję alkoholizmu jako choroby.

⁵ *Erik Acharius* (1757-1819) – szwedzki lekarz, botanik i lichenolog, nazywany „ojcem lichenologii”.

⁶ *Anders Jahan Retzius* (1742-1821) – szwedzki botanik, chemik i entomolog.

W przedpokoju siedział jeden z dwóch ochroniarzy pana Syntezy. Był to Bhilis¹ z Hindustanu, a nie Murzyn, jak wspominał raport agenta numer 27 i jak wskazywał również rejestr hotelowy. Błąd ten jest zresztą wybaczalny dla kogoś, kto nie studiował antropologii, ponieważ ten Hindus o skórze koloru sadzy, grubych rysach twarzy i prawie płaskim nosie mógłby być uznany za Murzyna, gdyby nie jego długie, proste i gładkie włosy oraz gęsta broda.

Na widok nieznanego, który podchodził poprzedzany przez mężczyznę w liberii hotelowej, wstał, jakby popchnięty sprężyną, i stanął przed drzwiami, wypowiadając kilka słów w obcym języku.

Prefekt wyciągnął z kieszeni wizytówkę, podał mu ją opuszkami palców i po prostu odpowiedział:

– Pan Synteza.

Bhilis wydał z siebie coś w rodzaju pomruku, otworzył drzwi i zniknął, by niemal natychmiast pojawić się ponownie.

Jednak ta krótka nieobecność wydawała się zmienić jego nastawienie do gościa. Jego ponure, butne spojrzenie ustąpiło miejsca, jakby za sprawą magii, niemal uprzejmemu wyrazowi twarzy. Podniósł obie ręce w kształcie filiżanki nad głowę, uklonił się z szacunkiem i gestem zaprosił prefekta, aby poszedł za nim.

Po przejściu przez dwa połączone pokoje doszli do dużego, luksusowo umeblowanego salonu, przekształconego w gabinet. Następnie Hindus wycofał się i wraca na swoje stanowisko.

Prefekt policji dostrzegł wtedy siedzącego na wysokim krześle z trzcinowym siedziskiem wysokiego, nieruchomego starca, który spoglądał na niego spokojnym, nieco zamglonym wzrokiem, o fascynującym i niezwykle niepokojącym wyrazie.

Starzec podniósł się częściowo, odpowiedział skinieniem głowy na ceremonialny ukłon gościa, gestem zaprosił go do usadowienia się i wrócił do swojego pierwotnego bezruchu.

Ponieważ ta cisza była równoznaczna z pytaniem, prefekt policji uważał, że powinien najpierw przeprosić za swoje nieoficjalne najście i wygłosić zwyczajowe frazesy skierowane do gościa, który

¹ *Bhili* – jeden z rdzennych ludów środkowych Indii; posługują się językami bhili, należącymi do grupy języków indoaryjskich.

nie był oczekiwany, a może nawet niepożądany, który wykraczał poza zwyczaję towarzyskie i przekraczał legendarny mur, zbudowany przez pana Guillouteta¹ wokół prywatnego życia obywateli.

Rozciągając swoje wypowiedzi z nadmiarem charakterystycznym dla prawnika, dla którego gadulstwo stało się czymś więcej niż nawykiem, a raczej potrzebą, prefekt bez pośpiechu przyglądał się tajemniczej postaci, która tak bardzo go intrygowała.

Wszystko w nim odpowiadało, a nawet wykraczało poza wyobrażenie, jakie sobie wcześniej o nim stworzył.

Głowa pana Syntezy, prawdziwie wyrazista głowa, przypominała do złudzenia imponującą maskę Darwina², od dawna popularną dzięki ilustrowanym publikacjom. To było właśnie ogromne czoło słynnego angielskiego fizjologa. Czoło lekko cofnięte, jak u marzyciela, które nagle rozszerza się w dwa ogromne boczne wybrzuszenia i wydaje się przedłużać aż do potylicy, w ostatnim i największym wybrzuszeniu, podwajając niejako pojemność czaszki.

Głęboko ukryte pod dziwnie wydatnymi brwiami czarne oczy, nieruchome pod szerokimi, nieco opadającymi i ledwo pomarszczonymi powiekami, błyszczały jak kule z polerowanej stali, a długie noce, nieustanna praca i upływające lata nie zdołały zmienić ich niezrównanego blasku.

Długi, cienki nos z dumnym orlim garbem nadawał tej twarzy osiemdziesięciolatka, otoczonej niemal białą brodą jak u burgrabiego, ale usianą twardymi, czarnymi włosami, opadającą dwoma długimi końcami na klatkę piersiową olbrzyma.

Wstęp prefekta policji, nienaganny pod względem formy, choć nieco pokręcony pod względem treści, wywołał na ustach pana Syntezy lekkie uśmiech. Z rosnącym zdziwieniem zauważył, że usta starca, podobnie jak usta Victora Hugo³, były wypełnione regularnymi,

¹ Odniesienie do kreskówki zatytułowanej *Cham*, opublikowanej w satyrycznym piśmie „Le Charivari” w 1869 roku, odnoszącej się sytuacji prawodawstwa związanego z tępym delegatem noszącym nazwisko Guilloutet.

² Charles Robert *Darwin* (1809-1882) – angielski przyrodnik; twórca teorii ewolucji.

³ Victor Marie *Hugo* (1802-1885) – francuski pisarz i polityk, członek Akademii Francuskiej, napisał m.in. powieści: *Nędznicy*, *Katedra Marii Panny w Paryżu*, *Pracownicy morza*.

całkowicie zdrowymi zębami, których istnienie nie miało nic wspólnego z protezą.

Podobnie jak w przypadku naszego nieśmiertelnego poety, wydawało się, że to młodzieńcze uzębienie jest dla pana Synteza przedmiotem kokieterii. Zresztą kokieteryjność ta była całkowicie uzasadniona, ponieważ, zwłaszcza u starca, nic nie jest tak wdzięczne jak nieoczekiwany wygląd tych organów, których trwałość u osiemdziesięciolatka oddala wszelkie pojęcia o zgrzybiałości.

Uśmiech natychmiast zniknął, a twarz pana Syntezy nagle przybrał zwyczajowy wyraz surowej powagi. Gestem, który wydawał mu się znajomy, przesunął po czubkach brody swoją bardzo małą, brązową, owłosioną dłoń o sękatych palcach i niezwykle grubej skórze, a następnie odpowiedział w końcu powolnym, ale dźwięcznym głosem, bez najmniejszego obcego akcentu:

– Pańskie postępowanie nie jest dla mnie obraźliwe ani nie narusza mojej wolności. Przyznaję to tym bardziej, że mógł pan wysłać do mnie nieudolnego lub zbyt gorliwego podwładnego, którego wysłałbym z powrotem przy pomocy moich Hindusów Apawo i Wirama.

– Nieocenionymi strażnikami...

– I nieprzekupnymi, którzy stanowią nieprzekraczalną zaporę dla potoku paryskich plotek. Jak pan wie, żyję w wielkim odosobnieniu, ponieważ moja praca, która jest istotą mojego istnienia i jedynym sensem mojego życia, wymaga niemal całkowitej izolacji. Nie jest więc zaskakujące, że z jednej strony ta zamierzona, poszukiwana izolacja, a z drugiej strony przygotowania do wyprawy, którą obecnie organizuję, przyniosły mi pewną reputację oryginalności, przed którą nie zamierzam się bronić.

„W końcu zbliżamy się do sedna!” – pomyślał prefekt policji, zachwycony pomyślnym przebiegiem rozmowy.

– Muszą krążyć dziwne plotki na mój temat, prawda?

– Rzeczywiście dziwne.

– Zapewne bzdury?

– Nonsensy...

– I pomyślał pan, że spotkanie ze mną rozwieje obawy, które być może pan podzielał. Och, niech pan się nie broni! Chociaż jestem

całkowicie obojętny na myśli, osądy, czyny i gesty współczesnych mi ludzi, doskonale rozumiem, że pewne szczególne aspekty mojego życia mogą budzić podejrzenia władz, które są zazwyczaj nieufne, a czasem nawet drażliwe. Jest więc rzeczą naturalną, że będąc gościem w danym kraju, przestrzegam praw, przepisów i formalności obowiązujących zarówno obywateli, jak i cudzoziemców.

Zrobię więc wszystko, co w mojej mocy, aby was zadowolić. Chcecie wiedzieć, kim jestem? Starym studentem, który od siedemdziesięciu lat stara się wydobyć z natury jej sekrety. Skąd pochodzę? Mógłbym powiedzieć, że z każdego miejsca, ponieważ nie ma chyba tak odległego zakątka globu, gdzie nie pozostawiłbym śladów mojego wędrownego życia. Dokąd zmierzam? Wkrótce się dowiecie.

Być może pragniecie dowiedzieć się czegoś więcej o mojej osobie jako obywatelu... Jak zwykły włóczęga pokażę wam „moje dokumenty”, tak jak pokazałbym je policjantowi... Widzicie, jak bardzo jestem uczynny. Mam ich naprawdę wiele!

Oto najpierw akt urodzenia potwierdzający, że przyszedłem na świat 4 października 1802 roku w Sztokholmie, jako owoc legalnego małżeństwa Jacobusa Syntezy i Christine Zorn.

Oto ponadto, sformułowana we wszystkich językach świata, ładna kolekcja dyplomów, przyznanych waszemu słudze przez uczone wydziały. Jest ich około dwustu. Wpadłem na pomysł, aby je oprawić, tworząc dość oryginalny tom *in folio*¹.

Te pergaminy, ozdobione wielobarwnymi woskowymi pieczęciami, nadają mi szlachectwo w nie wiem już ilu krajach. Jestem niejako angielskim baronem, hrabią Świętego Cesarstwa, księciem czegoś tam w górach w Niemczech, duńskim księciem, obywatelem Stanów Zjednoczonych i Republiki Szwajcarskiej, itp.

Niektórzy władcy zaszczytli mnie swoją przyjaźnią i napisali do mnie najbardziej pochlebne listy własnoręcznie podpisane. Chce pan wiedzieć, w jakich słowach zwracają się do mnie król Holandii, stary cesarz Niemiec, sympatyczny i uczony władca Brazylii, monarchowie Austrii i Włoch? Zapoznaj się z kolekcją... Jest ona bardzo interesująca.

¹ *In folio* – format książki odpowiadający jednokrotnie złamanemu arkuszowi papieru; w polskim bibliotekarstwie odpowiada to książkom o wysokości ponad 35 cm.

Możesz nawet zapytać zmarłych. Proszę... rozszyfruj te pismo pajęczkowe, nabazgrane przez nieżyjącego już autokratę Mikołaja¹ z Rosji, surowego człowieka, między nami mówiąc, choć nie przepadał za uczonymi! Przyjrzyj się również tym epickim znakom, nabazgranym przez Bernadotte'a², który był naszym królem i zaszczycił mnie swoją przyjaźnią.

Ten bardzo nowoczesny dokument, który widzi pan na moim biurku, to zwykły weksel na sto milionów płatny na żądanie przez panów Rothschildów... To moje kieszonkowe.

– Pańskie kieszonkowe! – przerwał w końcu prefekt policji, podnosząc się gwałtownie.

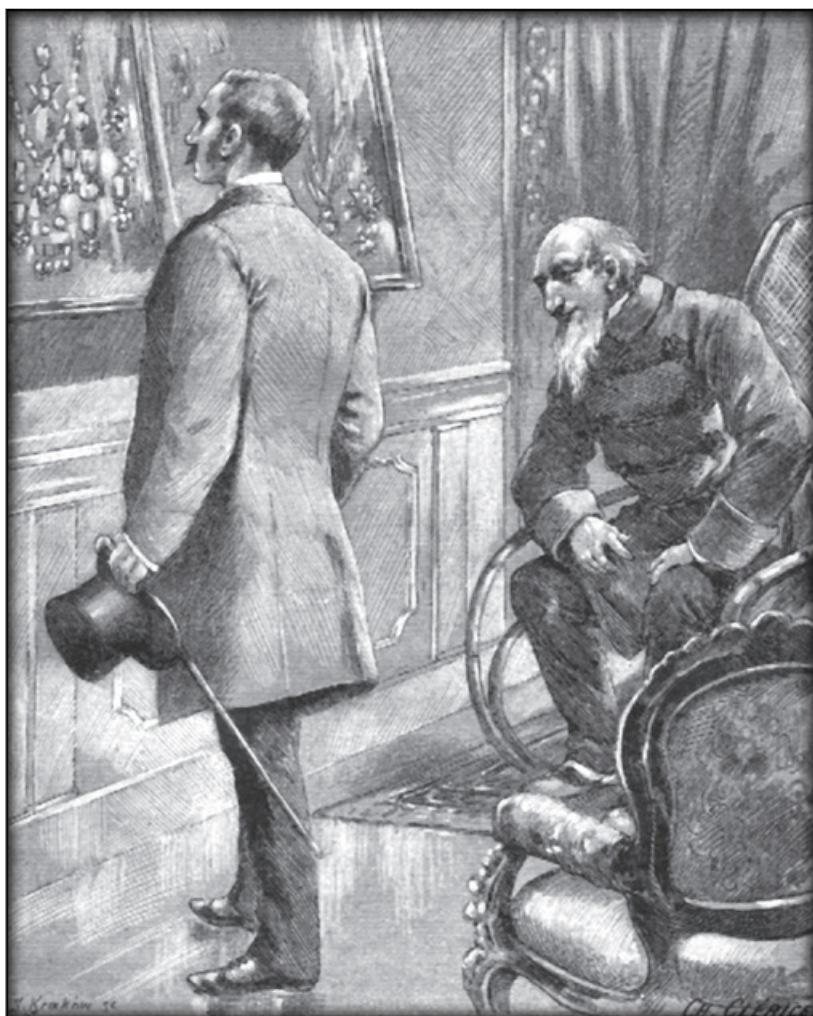
– Oczywiście: mam pięćset milionów w Banku Anglii, tyle samo w Banku Francji i ponad dwukrotnie więcej w Ameryce. W razie potrzeby mógłbym w krótkim czasie zdobyć dwa miliardy, gdyby tylko przyszło mi to do głowy. Poza tym to nie wszystko, co posiadam, daleko mi do tego, i mam wiele innych sposobów na zarabianie pieniędzy. Ale kontynuujmy, jeśli pan pozwoli, przegląd moich referencji. Proszę, co pan sądzi o tej serii wielobarwnych bibelotów, przymocowanych w tych gablotach, jak kolekcje motyli sklasyfikowane przez entomologa?

Coraz bardziej zdziwiony prefekt policji dostrzegł najdziwniejszą mieszankę odnacczeń wszystkich kształtów, odcieni i krajów: plakietki, naszyjniki, orderzy, gwiazdy i krzyże, które błyszczały i lśniły pod bogatą warstwą kamieni szlachetnych.

– Nie muszę chyba mówić, nieprawdaż – kontynuował pan Syn-teza swoim chłodnym tonem – że nie przywiązuję żadnej wagi do tych błyskotek, ponieważ nie mają one dla mnie nawet takiej wartości jak kamienie, w które są osadzone. Nie prosiłem o nie; zostały mi подарowane i zachowuję je z grzeczności, podobnie jak patenty, które tworzą drugi tom *in folio*. Cóż mi z tego, że jestem komandorem, kawalerem wielkiego krzyża czy wielkiego orła lub zwykłym

¹ Mikołaj I Romanow (1796-1855) – cesarz rosyjski i król polski od roku 1825, syn Pawła I.

² Jean Baptiste Jules Bernadotte (1763-1844) – syn prawnika, od 1794 roku generał republiki, później napoleoński marszałek, od 1811 roku regent, a od 1818 roku król Szwecji – Karol XIV Jan.



– Proszę, co pan sądzi o tej serii wielobarwnych bibelotów, przymocowanych w tych gablotach, jak kolekcje motyli sklasyfikowane przez entomologa?

rycerzem tego czy innego zakonu! Zresztą od dwudziestu lat nie przyznaje mi się już żadnych odznaczeń, z tego prostego powodu, że posiadam już prawie wszystkie. A propos, zapomniałem powiedzieć, że wszystkie te okazy złotnictwa, a raczej sztuczna biżuteria, mająca jednak tę oryginalną cechę, że są ozdobione klejnotami wykonanymi przeze mnie.

– Jak to! – wykrzyknął prefekt policji, którego zdumienie rosło z minuty na minutę. – Czy naprawdę zna pan sekret wytwarzania kamieni szlachetnych? To, co się o panu mówi, jest więc prawdą?

– Ależ wszystko jest prawdą, panie...! Słyszysz pan: wszystko! A poza tym, wytwarzanie diamentów to nic wielkiego! Czyż wielu z pańskich rodaków również ich nie wytwarzało, przynajmniej w postaci niezmiernie małych kryształów? Gdyby mieli cierpliwość lub środki, aby kontynuować swoje eksperymenty, bez wątpienia udałooby im się, tak jak mnie, uzyskać okazy o dowolnej wielkości.

Gdybym miał na to ochotę, mógłbym więc jutro zalać rynek klejnotami z mojego laboratorium i sprzedawać je po śmiesznie niskich cenach. Ale po co deprecjonować wartość prawdziwego kruszcu, rujnować kwitnącą branżę i doprowadzać do ruiny handlarzy i rzemieślników, którzy dzięki diamentom godnie zarabiają na życie? Zachowuję więc swoją tajemnicę. Proszę, oto kolejne okazy – kontynuował pan Synteza, nabierając pełnymi dłońmi z brązowych misek białe, czarne lub jasnożółte diamenty zmieszane z rubinami.

– Czy to wszystko jest prawdziwe? – wykrztusił gość, walcząc z emocjami.

– Czy kiedykolwiek w to pan wątpił? – odparł pan Synteza, lekko marszcząc brwi. – Czy wyglądam na mistyfikatora, a dowody materialne, które właśnie przedstawiłem, nie są dla pana wystarczające? Ale powtarzam, to wszystko jest najmniejszą rzeczą i pozostaje w sferze przyziemności, w błocie strumienia, w porównaniu z gigantycznym marzeniem, dezyderatem, który stanowi jedyny cel moich myśli i jest dla mnie jedynym powodem istnienia...

Następnie nagle, bez przejścia, dodał:

– No cóż, czy wierzy pan, że istnieje coś niemożliwego dla nauki?

– Cóż, proszę pana, nasi współcześni badacze zasypują nas tak wieloma cudami, że w naszym stuleciu pary, elektryczności, telefonów, fonografów, sterowców, zaczynam wierzyć, że nauka może osiągnąć wszystko.

– Dobrze! Jednakże, dostrzegając wysiłki tych naukowców i ciesząc się z ich sukcesów, zauważam, że ich odkrycia, same w sobie doskonałe, mają zastosowanie wyłącznie na naszej planecie.

– Ejże! Czy to nie wystarczy?

– Nie, z pewnością nie, a moje osobiste ambicje sięgają znacznie wyżej, znacznie dalej. Jeden z przykładów: Czy nie byłby pan szczęśliwy, jako prefekt policji, który musi znać czyny i działania swoich współczesnych, wiedząc, co dzieje się na planetach naszego układu słonecznego?

– Oczywiście; i pomijając kwestie zawodowe, byłbym zachwycony, z czysto ludzkiego punktu widzenia, mogąc poznać intymne życie planet krążących wokół naszego Słońca.

– Bardzo dobrze. Jeśli ma pan czas, wyjaśnię panu w kilku słowach mój projekt korespondencji między Ziemią a Marsem. Jest to prosty projekt, bez żadnych podtekstów, ale którego realizacja nie jest wcale niemożliwa.

Dysponujemy obecnie urządzeniami świetlnymi o tak dużej mocy, że sygnały wysyłane z Ziemi z pewnością zostaną dostrzeżone przez mieszkańców Marsa. Jestem głęboko przekonany, że ci ostatni zaczęli już dawać nam znaki życia, ale nikt z Ziemiaków, z wyjątkiem może mnie, nie pomyślał o praktycznych sposobach odpowiedzenia im.

Ale nawet gdyby udało się wymienić kilka sygnałów, to czy biorąc pod uwagę z jednej strony odległość między obiema planetami, a z drugiej strony niewystarczającą wydajność naszych instrumentów optycznych, czy udałoby się nawiązać regularną korespondencję?

– Uważam to za absolutnie niemożliwe.

– Tak, bez wątpienia, i dodam: przy obecnym stanie naszych środków. Ale jeśli urządzenia optyczne pozostają niewystarczające, jeśli same prawa optyki sprzeciwiają się – co wątpię – tym międzygwiazdowym badaniom, to nauka inżynierii, która nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, powinna interweniować... z mojej woli.

– Ale...

– W taki sposób, aby zmniejszyć odległości istniejące między gwiazdnymi światami.

– Jak to...?

– Pozwól mi pan dodać, parafrazując słynne słowa proroka: „Sko-ro planeta nie przychodzi do mnie, to ja pójdę do planety”...¹ A raczej wszyscy pójdziemy do planety! Ponieważ liczę, że z czasem i dzięki pracy, ja, który do pana przemawiam, zmodyfikuję bieg Ziemi w przestrzeni kosmicznej...

„No cóż – pomyślał prefekt policji – do tej pory mówił jak ekscentryk, ale rozsądny. Teraz zaczyna bredzić, wsiadając na konika, który prawdopodobnie porwał jego mózg w planetarną przestrzeń. Pan Synteza jest tylko monomaniakiem, a ja postaram się godnie przejść na emeryturę”.

– Tak – kontynuował ożywiony dziwny starzec – uważa mnie pan za szaleńca, ponieważ moje koncepcje wyprzedzają o kilka stuleci lub kilka tysięcy lat koncepcje moich współczesnych... nawet jeśli właśnie powiedział mi pan, że nauka nie zna granic! Ach! Wszyscy jesteście tacy sami! Cóż, pomyślmy racjonalnie. Jak pan myśli, ilu mieszkańców mamy na Ziemi?

– Statystyki podają przybliżoną liczbę miliarda.

– Pańskie statystyki są absurdalne i mam dobre powody, by podwyższyć tę liczbę do półtora miliarda.

– Jestem gotów się z tym zgodzić.

– Czy pomyślał pan o ogromnej ilości pracy, jaką może wykonać półtora miliarda ludzi, wspomaganych przez najpotężniejsze maszyny naszego przemysłu, nieustannie zajętych, ludzie i maszyny, kopaniem ziemi, transportowaniem ziemi, skał, gór, a w razie potrzeby przenoszeniem całych kontynentów...?

– Rzeczywiście, ogromną! Ale w jakim celu miałyby być te powszechne prace ziemne?

– W celu zmodyfikowania kształtu Ziemi.

¹ Nawiązanie do legendy (która stała się przysłowiem) „cudzie” proroka, który oświadczył, że może sprawić, iż odległa góra przyjdzie do niego; nie doczekawszy się jednak, aż wezwana góra ruszy się z miejsca, wziął kij i sam podążył do niej; polska wersja to: Nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry.

– Dlaczego taka zmiana?
– Aby przesunąć jej oś tak, aby zboczyła ze swojej zwykłej drogi.
– Dobrze! Chcę wierzyć, że realizacja tej hipotezy jest możliwa... to wspaniałe. Ale czy dobrze zbadał pan wszystkie trudności, które pojawią się w każdej chwili? W jaki sposób władcy, cywilizowani lub barbarzyńscy, którzy są przecież panami we własnym domu, będą postrzegać pańskie prace?

– Kupię ich ziemię za gotówkę, a oni zatrudnią do pracy swoich poddanych. Wszystko jest możliwe, jeśli się za to zapłaci. Obecnie gromadzę majątek, aby w przyszłości stać się właścicielem ziemskim całej Ziemi.

– Jeśli w końcu wszyscy będą pracować przy robotach ziemnych, jak zostanie rozwiązana kwestia wyżywienia? Trzeba jeść, a robotnicy mają dobry apetyt.

– Nie będziemy jeść! A przynajmniej nie będziemy jeść tak, jak wy to rozumiecie. Rozwiązałem ten problem trzydzieści lat temu! Słyszysz pan dobrze, od trzydziestu lat nie spożyłem ani kawałka chleba ani mięsa i nie czuję się przez to gorzej, wręcz przeciwnie... To tylko nieistotny szczegół. Wróćmy więc do koszmaru nieskończoności, który nawiedza mój umysł!

Ponieważ zmieni się kształt naszej sferoidy, a jej oś zostanie przesunięta, Ziemia nie będzie już podlegać w ten sam sposób prawom przyciągania międzygwiazdowego. Zboczy z kursu i nie będzie już krążyć w niezmienniej odległości od Słońca! Obliczę zresztą to zboczenie, które skoryguję w odpowiednim czasie i miejscu.

Ziemia będzie więc krążyć w przestrzeni zgodnie z moimi pragnieniami, ponieważ zamierzam nią kierować... materia została stworzona po to, by ją pokonać. Wtedy, dosiadając mojej planety, udam się, by z bliska przyjrzeć się moim braciom tyranom, którzy rządzą innymi planetami... Zagram swoją rolę w tym koncercie potentatów wszechświata, którzy ustawiają konstelacje w szyku bojowym i bombardują się asteroidami...

Prefekt policji od pewnego czasu nie próbował już śledzić kapryśnych wybrzków umysłu swojego rozmówcy. Nagle zobaczył, jak ten odwraca głowę i wpatruje się w małe metalowe lusterko, które

przymocowane do podstawy wyposażonej w dość skomplikowany mechanizm, nagle zaczęło szybko się obracać.

Pan Synteza, z wyprostowanym, sztywnym ciałem i wysoko uniesioną głową, pozostał przez około dwadzieścia sekund pogrążony w czymś w rodzaju ekstazy, z szeroko otwartymi oczami, bez mruknięcia powiekami, gapiąc się w lustro, które emitowało intensywne światło. Następnie drgnął gwałtownie i jego usta otworzyły się nieznacznie w ziewnięciu.

– Co się stało, panie? – zapytał prefekt policji, który nie liczył już swoich zdziwień.

– Nic – odpowiedział spokojnie pan Synteza. – Moje życie jest uregulowane jak chronometr i za nic w świecie nie chciałbym tego zmieniać. W tej chwili śpię i jestem głodny.



Rozdział III

Posiłek człowieka, który nie je – Idealne dwa kilogramy mięsa –
Naukowa uczta zredukowana do nieskończonej małych proporcji –
Elementy ciała – Proste ciała składające się na te elementy – Sztucznie
wytworzone mięso – Chemiczna synteza – Zróżnicowana dieta – Sen
człowieka, który nie śpi – Hipnoza i sugestia – Sześćdziesięcioletni
człowiek poświęcił około dwudziestu lat swojego życia na sen – Aby nie
stracić ani chwili życia – Sugestia idei posiłku – Znowu skafandry – Pan
Synteza oświadcza, że zamierza stworzyć od podstaw cały kontynent,
a prefekt policji uważa, że został zmistyfikowany.

dy tylko pan Synteza wypowiedział te enigmatyczne słowa:
„Śpię i jestem głodny”, jego napad liryzmu nagle ustał. Nie
oznaczało to jednak, że cokolwiek w jego zachowaniu wskazywało
na sen. Jego chód był nadal swobodny, oczy szeroko otwarte, gesty
swobodne.

Z drugiej strony nic nie wskazywało na przygotowania do po-
siłku, nawet tak skromnego. Służący nadal pełnili swoje obowiązki
w przedpokoju, a w mieszkaniu nie było śladu jedzenia.

Prefekt policji patrzył i milczał.

Dziwny starzec, nie zwracając uwagi na obecność gościa, po-
woli podszedł do sejfu przymocowanego do ściany, otworzył go,
wyjął metalowe pudełko i położył je na biurku. Następnie, z powa-
gą człowieka, który zamierza dokonać ważnego czynu w swoim ta-
jemniczym życiu, którego jedną z tajemnic chce ujawnić, nacisnął
sprężynę i pokrywa pudełka gwałtownie się podniosła.

To pudełko o stalowym połysku, ozdobione wspaniałymi figur-
kami, zawierało po prostu piętnaście kryształowych flakoników,
szczelnie zakorkowanych i ułożonych symetrycznie, jak w aptecz-
ce podróźnej.

Pan Synteza, z rozpromienioną twarzą i błyszczącymi oczami,
bez słowa chwycił buteleczkę, odkorkował ją, włożył korek do wy-
konanego doraźnie małego nacięcia, wziął łyżkę, przechylił nad nią
flakonik i wysypał z niego szarawą kulkę wielkości wiśni. Następ-
nie napełnił łyżkę bezbarwną cieczą z innego flakonika, po czym
zwrócił się do prefekta i rzekł krótko:



Dziwny starzec, nie zwracając uwagi na obecność gościa,
powoli podszedł do sejfu przymocowanego do ściany.

– Czy mogę...? Mój żołądek jest niezwykle wymagający, gdy nadchodzi pora jego jedynego codziennego posiłku... A dzisiaj spóźniłem się o minutę... i nawet trochę więcej!

Potem, nie czekając na zgodę, której jego rozmówca szybko mu udzielił, przepraszając za swój nietakt, pewnie połknął zawartość łyżki. Następnie, z niezwykle zręcznością, otworzył drugi flakonik, wrzucił kolejną pigułkę do łyżeczki, napełnił ją tym samym płynem, połknął wszystko z cichym mlaśnięciem języka i zaczął od nowa...

Powtórzył tę czynność dziesięć razy z rzędu, a następnie zamknął pudełko, odłożył je do sejfu i wrócił na swoje miejsce.

Uspokojony tym niezwykle ożywczym posiłkiem, przynajmniej sądząc po nowej energii, którą nagle odzyskał, pan Synteza westchnął z satysfakcją człowieka w pełni nasyconego i dodał:

– Oto zakończyłem posiłek... To, co uważam za najważniejsze, powiedziałbym nawet, że za jedyną funkcję mojego materialnego życia. Oto zapas na dwadzieścia cztery godziny. Jak pan widzi, moje urządzenie kulinarne nie zajmuje dużo miejsca, a czas poświęcony na regenerację mojego organizmu jest ściśle oszczędzany.

– Jak to – odparł zdumiony prefekt policji – nie zamierza pan brać nic poza tymi pigułkami...?

– Absolutnie nic! Jak już powiedziałem, żyję tak od ponad trzydziestu lat.

– To niesamowite.

– Mniej niż pan myśli; w każdym razie jest to całkowicie racjonalne.

– Nie dziwię się już, że twierdzi się, iż żyje pan bez jedzenia, ponieważ ci, którzy nie są wtajemniczeni w sekrety pana życia, nigdy nie widzieli pana spożywającego pokarmy.

– A przynajmniej pokarmy w rozumieniu zwykłych ludzi. Bo w sumie oczywiste jest, że sama idea życia bez jedzenia byłaby szczytem szaleństwa.

Czym jest życie organiczne? To ciągłe zużywanie się elementów tworzących wszystkie żywe organizmy, rodzaj nieprzerwanego spalania. Przestańcie wrzucać drewno lub węgiel do kominka,

a ogień zgaśnie... Przestańcie uzupełniać straty poniesione przez organizm, dostarczając mu substancje analogiczne do tych, które zużywa podczas tego rodzaju spalania, a organizm ten uschnie i umrze. Jeśli chodzi o mnie, to przyznam się panu, między nami, że daleki jestem od życia, jak to się potocznie mówi, „powietrzem czasu”, i mam spory apetyt.

– Naprawdę?

– Dowodem na to jest fakt, że właśnie zjadłem przed panem dwa kilogramy wołowiny. Widzi pan, że mój posiłek, choć naukowy, nie ma w sobie nic platonicznego, pomimo niewielkiej objętości.

– Poddaje więc pan mięso pewnego rodzaju obróbce, dzięki której redukuje materię pokarmową do objętości, której niewielkie rozmiary pozwalają panu...

– Nie ma pan racji, ponieważ do mojego laboratorium nigdy nie trafia ani miligram mięsa.

– Zdecydowanie coraz mniej rozumiem.

– A przecież to bardzo proste. Czym w sumie jest mięso? Jest to substancja złożona z różnych elementów w różnych proporcjach, w zależności od gatunku zwierzęcia, które je dostarcza. Weźmy na przykład wołowinę. Nie powiem panu nic nowego, mówiąc, że składa się ona z albuminy¹, fibryny², hematozyny, kreatyny³, inozy-ny⁴, kreatyniny⁵, żelatyny itp. Ponadto, jak wiadomo, zawiera sole,

¹ *Albuminy* – grupa białek rozpuszczalnych w wodzie, szeroko rozpowszechnionych w świecie zwierzęcym i roślinnym.

² *Fibryna* (włóknik) – nierozpuszczalna postać białka, która podczas krzepnięcia wydziela się jako cienkie splecione nici zatrzymujące składniki krwi i tworzące skrzep.

³ *Kreatyna* (kwas β -metyloguanidynooctowy) – organiczny związek chemiczny zawierający elementy strukturalne guanidyny i kwasu octowego; w organizmach zwierzęcych tworzy się w trakcie przemiany materii, występuje głównie w mięśniach i ścięgnach.

⁴ *Inozyna* (łac. *Inosinum*) – organiczny związek chemiczny, nukleozyd purynowy zawierający hipoksantynę jako zasadę azotową; w dużym stężeniu naturalnie występuje w mięsie ryb.

⁵ *Kreatynina* (z gr. kreas, czyli mięso) – organiczny związek chemiczny, pochodna (bezwodnik) kreatyny występująca we krwi i moczu, produkt metabolizmu; jest wydalana z organizmu przez nerki z moczem, stanowiąc oprócz mocznika jeden z głównych związków azotowych.

w szczególności chlorki, fosforany, węglany i siarczany alkaliczne, żelazo, mangan itp., a także 77,17% wody.

– Wody! Twierdzi pan, że mięso zawiera wodę...! Rostbef, udziec, filet nasączone wodą...!

– Tak, proszę pana. Mięso zawiera jej prawie cztery piąte swojej wagi. W związku z tym na sto gramów prawie osiemdziesiąt jest bezużytecznych dla odżywiania. Ale to nie wszystko. Wśród tych substancji są takie, które nie nadają się do odżywiania i które można bez problemu wyeliminować: w szczególności chondrynę¹ i żelatynę. W ten sposób można jeszcze zmniejszyć ilość substancji odżywczych zawartych w mięsie, a tym samym jeszcze bardziej zmniejszyć jego masę. To bardzo skrótowe wyjaśnienie wystarczy, aby pokazać, do jak niewiarygodnie małej objętości można zredukować wyłącznie aktywny składnik, który jest jakby zagubiony wśród innych nieaktywnych składników tworzących mięso.

– Rozumiem, że ostatecznie wyodrębnia pan te aktywne składniki, aby stworzyć tabletki, które właśnie zażył.

– Proszę o cierpliwość! Wszystkie te substancje, które właśnie określiłem jako albuminy, fibryny, kreatyny i inne, nie są bynajmniej ciałami prostymi. Wszystkie składają się, w określonych proporcjach, z tlenu, wodoru, węgla i azotu, a proporcje, w jakich te elementy są ze sobą połączone, wystarczają, aby je odróżnić. Mając to na uwadze, zamiast gotować mięso, którego pochodzenia nie znam, i z trudem wydobywać z niego substancje, które mogą być sfałszowane, sam wytwarzam od podstaw moją albuminę, fibrynę, kreatynę itp.

– Sam wytwarza pan... sztucznie... elementy składające się na mięso, czyli samo mięso!

– Bez wątpienia. Wystarczy w tym celu połączyć ze sobą, w odpowiednich proporcjach, wodór, węgiel, azot i tlen, czyli proste związki chemiczne, z których składa się każda z substancji tworzących mięso. W ten sposób uzyskuję *chemicznie czyste* substancje odżywcze. Słyszysz pan, chemicznie czyste...! Całkowicie przyswajalne, bez żadnych strat, bez najmniejszych pozostałości!

¹ *Chondryna* – macierz pozakomórkowa, tworząca tkankę chrzęstną; w chondrynie zanurzone są elementy komórkowe (chondrocyty) oraz białkowe włókna.



– Wody! Twierdzi pan, że mięso zawiera wodę...!
Rostbef, udziec, filet nasączone wodą...!

– Ale proszę mi wybaczyć, panie, ale nie rozumiem, jak można dokonać takiego połączenia, w określonych proporcjach, pierwiastków, które nie występują w naturze w postaci odosobnionej.

– Odbywa się to poprzez serię reakcji, które tylko zawodowy chemik mógłby zrozumieć i docenić. Podam jednak w tej kwestii najprostszy przykład, który wystarczająco wyjaśni tę analogię. Wie pan, że można sztucznie wytworzyć wodę i pamięta pan, w jaki sposób.

– Bardzo mgliście, przyznaję, ponieważ mój kurs chemii elementarnej miał miejsce bardzo dawno temu.

– Przesyłając iskrę elektryczną przez mieszaninę dwóch objętości wodoru i jednej objętości tlenu. W momencie przejścia iskry oba gazy łączą się ściśle, tworząc ciecz. Ta ciecz to woda. Dla własnych potrzeb postępuję w zasadzie analogicznie, czasami powodując oddziaływanie na siebie prostych ciał, aby utworzyć ciała złożone, inne ciała złożone z prostych ciał lub ciała złożone między sobą nawzajem.

– Ale w takim razie tworzy pan wszystko!

– Nie tworzę absolutnie nic. Nikt na tym padole nie może stworzyć czegoś z niczego, a dla człowieka nicość zawsze pozostaje nicością! Łączę jednak proste ciała, które znajdują się wszędzie w naturze, ale mądrze wykorzystuję siły materii, przechodząc od prostego do złożonego, od ogólnego do szczegółowego, od abstrakcyjnego do konkretnego.

– Jeśli się nie mylę, ten system nazywa się, podobnie jak w filozofii...

– Synteza, proszę pana, to jest synteza!

– To pańskie nazwisko, które od razu mnie uderzyło.

– Jestem ostatnim potomkiem rodziny chemików, której początki giną w mrokach wieków... Pierwszy z mojego rodu, zamiast traćć czas na bzdury wymyślone przez umysły jego współczesnych, wpadł na genialny pomysł, aby spróbować odtworzyć ciała złożone. Wynalazł system, który dopiero dziś daje impuls do rozwoju współczesnej chemii, i stworzył greckie słowo σύνθεσις, czyli synteza, pod którym odtąd go nazywano. Zachował tę nazwę, która była warta każdej innej, i przekazał ją swoim potomkom. Dlatego ja nazywam się SYNTEZA.

Odziedziczyłem nie tylko imię i dzieła moich przodków, ale także nieodpartą skłonność, która popycha mnie do studiowania nauk, a zwłaszcza syntezy chemicznej... Dodam, że jeśli dziś potrafię osiągać rzeczy, które zadziwiają nie tylko zwykłych śmiertelników, ale także ludzi z branży, to zawdzięczam to bardziej badaniom moich przodków niż moim skromnym zasługom.

Jestem w pewnym sensie żywą syntezą, wynikiem wszystkich tych wielowiekowych wysiłków, ucieleśnieniem dziesięciu pokoleń nieznanych i wytrwałych pracowników, z których odkryć korzystam.

Nie jestem więc ani czarownikiem, ani mistyfikatorem, ale człowiekiem nauki, który może udowodnić wszystko, co twierdzi. Proszę... spróbuj pan kilka moich czarek z jedzeniem. Och! Nie obawiaj się! Są one całkowicie nieszkodliwe, a przy tym skuteczne. Gwarantuję panu, że w ciągu dwudziestu czterech godzin nie poczuje nawet najmniejszego uczucia głodu.

– Dziękuję! – przerwał mu ze śmiechem prefekt policji. – Przyznam się, między nami mówiąc, że mam wadę bycia nieco łakomczuchem i jeśli się czegoś obawiam, to tylko braku smaku pańskiej tajemniczej ambrozji.

– Moja ambrozja, jak pan ją nazywa, nie ma w sobie nic tajemniczego. A nawet jeśli jest mdła, jej spożycie pozostawi pański żołądek wolny, a umysł niezwykle lekki. Dzięki niej nie ma zatorów wynikających z uciążliwego trawienia, nie ma tych bolesnych dolegliwości żołądkowych, które dotyczą pracowników siedzących, nie ma podagry¹, nie ma otyłości, ale jest szybkie przyswajanie, regularna regeneracja, łatwe wchłanianie...

– Jeszcze raz dziękuję, proszę pana. Naprawdę obawiam się, powtarzam, tej zbyt prostej i jednolitej diety.

– Ależ ja ją codziennie urozmaicam! Jutro spożyję substancje nieazotowe, węglowodory, które dostarczą mojemu organizmowi ciepła i energii; krótko mówiąc, pokarmy oddechowe, do których chętnie dodaję kilka pokarmów oszczędnościowych, takich jak kokaína lub kofeina, gdy jestem nieco przemęczony.

¹ *Podagra* (dna moczanowa) – choroba charakteryzująca się napadowym, ostrym zapaleniem stawów, spowodowana odkładaniem się w tkankach soli kwasu moczowego.

– Proszę mi wybaczyć moją odmowę, ale powtarzam, jestem syty i przyznaję się bez wstydu, że wolę zwykłą, mniej lub bardziej autentyczną kawę mokką od najlepszej kofeiny. A teraz, proszę pana, zanim się pożegnám, proszę wybaczyć mi tę zbyt długą wizytę.

– Nie ma sprawy... nie mam panu nic do wybaczenia. Chciał pan dowiedzieć się czegoś o mnie... Jest pan zadowolony?

– Bardziej niż potrafię to wyrazić; naprawdę mnie pan zadowolił. Jednakże, jeśli ośmielę się...

– Ośmiel się pan, do diabła...!

– Nie jestem przecież taki nieprzyjemny. Był pan tak uprzejmy, że wyjaśnił mi tajemnicę swojego odżywiania... Czy zechciałby w dwóch słowach wprowadzić mnie w tajemnicę swojego snu? Bo przecież przed chwilą powiedział pan: „Śpię i jestem głodny...”. Widziałem, jak pan je, ale nie zauważyłem, żeby pan spał!

– A jednak śpię. Zna pan hipnozę, ten sztucznie wywołany sen u niektórych osób, nad którym ostatnio przeprowadzono niezwykle eksperymenty w Salpêtriére¹ przez profesora Charcota² oraz w Nancy przez profesora Bernheima³.

– Znam to zjawisko tak jak wszyscy, czyli bardzo powierzchownie, z kilku artykułów prasowych... kilku wyciągów z czasopism naukowych.

– To wystarczy. Wie pan zatem, że sen wywołany różnymi metodami, w szczególności kontemplacją błyszczącego przedmiotu trzymanego w pewnej odległości od oczu, powoduje, że osoba zasypiająca staje się całkowicie zależna od osoby, która ją usypia. Rozumiem przez to nie tylko zależność materialną, ale przede wszystkim zależność moralną.

– Doskonale. Osoba hipnotyzująca może zrobić wszystko ze swoją ofiarą: sugerować jej najbardziej niezwykle myśli, absurdalne

¹ *Salpêtriére* – szpital w Paryżu; pierwotnie był fabryką prochu; w 1656 roku na mocy kwietniowego edyktu wydanego przez Ludwika XIV został przekształcony w przytułek dla ubogich; służył także jako więzienie dla przestępców, prostytutek, niepełnosprawnych psychicznie, chorych psychicznie, epileptyków, libertynów.

² Jean-Martin *Charcot* (1825-1893) – francuski lekarz neurolog.

³ Hippolyte *Bernheim* (1837-1919) – francuski lekarz i neurolog; w tej kwestii warto zapoznać się z niezwykle interesującą publikacją doktora Bernheima, profesora Szkoły Medycznej w Nancy: *O sugestii* [przypis autora].

lub genialne pomysły, sprawić, że będzie ona bezbłędnie rozumowała na tematy, których nie zna, a nawet pozbawić ją pamięci o swojej indywidualności i sprawić, że wejdzie w skórę obcej postaci. Poddany hipnozie może nawet, jak się mówi, zostać nieodparcie popchnięty do popełnienia przestępstwa, które wykona pod wpływem tej sugestii, której nie może się oprzeć.

– Tak jest, ale to nie wszystko. Należy również wiedzieć, że pamiętać wszystkich wydarzeń, wszystkich wypowiedzianych słów, wszystkich pomysłów, które pojawiają się podczas hipnozy, może zostać zachowana przez osobę poddaną hipnozie, gdy się obudzi. Wystarczy, że osoba, która wywołała sen, zechce, aby ta pamięć została zachowana w stanie czuwania. Wreszcie hipnoza, czasami długa i trudna do osiągnięcia na początku, po pewnej liczbie sesji może być wywołana niemal natychmiastowo.

– Wszystko to wydaje mi się potwierdzone doświadczeniami naukowców, których twierdzenia nie mogą budzić podejrzeń.

– Cóż, przed sobą ma pan przykład człowieka pod wpływem snu hipnotycznego.

– Pan!

– Bez wątpienia.

– Ale nikt pana nie uśpił.

– Sam wywołałem hipnozę, tak jak robię to codziennie, wpatrując się przez kilka sekund w małe metalowe lusterko.

– Sam się pan hipnotyzuje...?

– Dokładnie tak.

– Nie sądziłem, że to możliwe.

– Wręcz przeciwnie, praktyka ta, od niepamiętnych czasów znana na Wschodzie, jest stosowana przez hinduskich fakirów, którzy hipnotyzują się na żądanie. Niektórzy przez pewien czas patrzą na czubek swojego nosa i osiągają stan hipnozy, nie bez rażącego zezowania; inni patrzą na swój pępek i osiągają ten sam rezultat po mniej lub bardziej długiej kontemplacji. To właśnie widok tych *omfalopsychistów*¹ lub *umbilicanów*² podsunął mi pomysł, aby się

¹ *Omfalopsychista* – od gr. słowa *omfale* – pępek.

² *Umbilican* (ang.) – pępkowy.

zahipnotyzować. Tylko że ja używam lustra... jest to o wiele bardziej praktyczne.

– Ale po co poddaje się pan skutkom tego zjawiska?

– Ile godzin dziennie poświęca pan na sen?

– Około siedmiu lub ośmiu.

– Jedna trzecia pańskiego czasu mija w łóżku, prawda? W ten sposób w ciągu sześćdziesięciu lat życia stracił pan dwadzieścia lat na sen.

– To jest konieczne. Czy pod groźbą śmierci sen nie jest dla organizmu tak samo niezbędny jak pożywienie?

– Tak jak właśnie pokazałem, istnieje pożywienie i pożywienie, chcę udowodnić, że istnieje sen i sen. Ponieważ mój czas jest zbyt cenny, by marnować go na sen, musiałem znaleźć sposób, który pozwoliłby mojemu organizmowi odpocząć, nie tracąc przy tym zdolności intelektualnych, nie przestając działać, myśleć i pracować.

Metodę tę zapewnił mi hipnotyzm już czterdzieści pięć lat temu i pozwolił mi zaoszczędzić piętnaście lat, które bez niego zostałyby dla mnie bezpowrotnie stracone. Bo chociaż do tej pory udało mi się rozwiązać problemy naukowe uważane za nierozwiązywalne, nigdy nie uda mi się przedłużyć o minutę trwania ludzkiego życia, opóźnić tej fatalnej chwili, którą nazywamy śmiercią! Chcę więc wykorzystać każdą chwilę mojego życia.

Aby osiągnąć ten cel, hipnotyzuję się z wyraźną wolą, aby podczas sztucznego snu nadal żyć intelektualnie tak jak w stanie czuwania. W ten sposób nic nie zostaje przerwane: ani moje relacje, ani praca, ani studia, ani eksperymenty naukowe.

– I nie odczuwa pan strasznego bólu głowy?

– W żadnym wypadku, ponieważ sugerując mojemu umysłowi kontynuację życia intelektualnego, sugeruję mojemu ciału fizyczny odpoczynek.

– I to wystarcza?

– Oczywiście! Wie pan przecież, że wyniki „sugestii” są niezaprzeczalne. W ten sposób moje ciało odpoczywa, ponieważ chcę, aby odpoczywało.

– To niezwykle!

– Wcale nie. Założmy, że hipnotyzuję pana i podczas pańskiego sztucznego snu zmuszam do wykonywania męczącej pracy przez siedem lub osiem godzin – czyli przez czas trwania pańskiego naturalnego snu. Założmy też, że po przebudzeniu sugeruję, że po prostu pan spał... Czy odczuje pan jakikolwiek zmęczenie wysiłkiem związanym z pracą wykonaną podczas hipnozy? Z pewnością nie! Będzie się panu wydawało, że naprawdę spał pan i będzie pan wypoczęty i pełen energii, jak po przebudzeniu.

Oto, proszę pana, wyjaśnienie tajemnicy snu człowieka, który od czterdziestu pięciu lat śpi na jawie. Widzisz więc, że w moim przypadku nie ma nic tajemniczego i że – nie chcę tu nikogo oskarżać – władze nie miały racji, martwiąc się o starego, dzielnego uczonego, którego oryginalność polega na tym, że nie ma łóżka ani ani naczyń kuchennych.

– Pozwolę sobie jednak zauważyć, panie, że w życiu wszystko jest ze sobą powiązane i że niektóre relacje, przynajmniej pozornie kompromitujące, mogą służyć do wprowadzenia w błąd osady, które mamy wydawać na temat najbardziej nienagannych osobistości. Tak więc pański nowy asystent chemiczny...

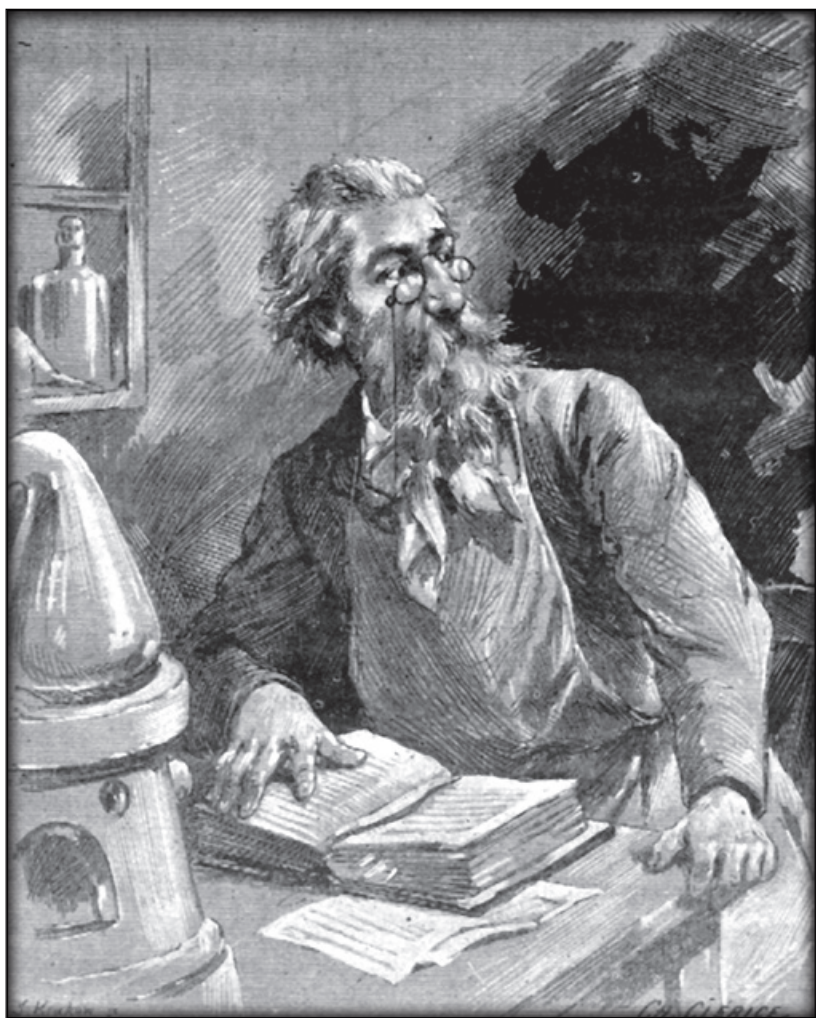
– Alexis Pharmaque? Zastanawiam się, co może panu przeszkadzać w tym dzielnym chłopcu, najbardziej nieszkodliwym z ludzi, a jednocześnie wybitnym naukowcu.

– Nie zmienia to faktu, że w ostatnim czasie utrzymywał bliskie stosunki z rosyjskimi konspiratorami, których uczył niektórych dziedzin chemii, w szczególności tej dotyczącej substancji wybuchowych.

– Cóż, co mam z tym zrobić? Czy obawia się pan, że wysadzę Pont-Neuf¹ lub „podłożę dynamit” pod wieże Notre-Dame?² Proszę wiedzieć, panie, że nie jestem niszczyicielem... Moje życie polega na budowaniu, tworzeniu; bez tego nie byłbym panem Synteza!

¹ *Pont-Neuf* – most na Sekwanie, przecina północny cypel wyspy île de la Cité, długość 238 m, najstarszy (wbrew nazwie Nowy) z istniejących w Paryżu, ukończony w roku 1607, ma 12 przęseł.

² *Notre Dame* w Paryżu – pięciconawowa katedra gotycka budowana w latach 1163-1345 na miejscu dwóch kościołów z IX wieku, jeden z najśłynniejszych kościołów świata.



Alexis Pharmaque

Wracając do mojego asystenta, pragnę powiedzieć, że zatrudniam pomocników tam, gdzie ich znajduję, pod warunkiem, że są uczciwi, a przede wszystkim są uczonymi. My, obcokrajowcy, mamy znacznie mniej uprzedzeń niż wy, Francuzi. Aby podać tylko jeden przykład: książe Walii nie uważał za coś strasznego, że zatrudniał jako nauczyciela swoich dzieci jednego z waszych rodaków, uchodząc z Komuny Paryskiej¹, który był już profesorem języka francuskiego na Uniwersytecie Oksfordzkim.

– No dobrze! – odparł prefekt policji, wstając, aby się pożegnać. – Pomijajmy relacje, ponieważ jest pan człowiekiem, który swoją uczciwością może przykryć osobowość, być może dwuznaczną pod pewnymi względami. Ale...

– Ale co...?

– Będę szczery, ponieważ nie mógłbym opuścić pana z ukrytymi zamiarami.

– Do czego pan zmierza?

– Chcę po prostu zapytać, jak zamierza pan wykorzystać pięćset skafandrów dostarczonych przez firmę Rouquayrole, które obecnie znajdują się w ładowni jednego z pańskich statków.

– Ech! Dlaczego nie zapytał pan o to wcześniej! Nigdy nie miałem najmniejszej intencji ukrywania używania dla jakiego celu te aparaty są przeznaczone. Zamierzam przeprowadzić eksperyment, przed którym do tej pory wzbraniałem się z bardzo szczególnych powodów. Dzisiaj nadszedł ten moment i przygotowuję się do realizacji tego, co dla mnie jest *Wielkim Dzielem*!

Eksperyment ten, o którym myślę od ponad pół wieku, polega w zasadzie na stworzeniu ziemi, która nie istnieje. Muszę więc najpierw przeprowadzić syntezę dziewiczej gleby, którą chcę stworzyć od podstaw i wyłonić z dna morza... Dlatego potrzebuję tak licznej ekipy nurków. Jeśli chodzi o przeznaczenie tej ziemi, która nadal znajduje się w stanie rozproszonych cząsteczek w bezkresnym

¹ *Komuna Paryska* (fr. Commune de Paris) – zryw rewolucyjny ludności Paryża; trwała od 18 marca do 28 maja 1871 roku; w zależności od punktu widzenia uważana za ostatnią rewolucję romantyczną, przez anarchistów za nie do końca konsekwentną próbę likwidacji państwa, a przez marksistów za przykład dyktatury proletariatu.

morzu, to pozostaje to moją tajemnicą. A teraz żegnam pana. Mam nadzieję, że przed upływem roku usłyszysz pan o mnie.

– Tak, oczywiście, będę miał wiadomości od pana – mruknął do siebie prefekt policji, gdy hinduski Bhilis, pełniący służbę w przedpokoju, odprowadzał go do korytarza – i to znacznie przed upływem roku. Słowo daję, zostałem zmistyfikowany jak dziecko, które właśnie wysłuchało bajek mojej babci! To prawda, że ten diabelski człowiek ma sposób opowiadania historii, przekonywania i chwytania za serce, że nie wiadomo, gdzie zaczyna się bajka, a gdzie kończy rzeczywistość. Wszystko to wyjaśnię, dodając do niego dyskretnego i inteligentnego towarzysza, który w odpowiednim czasie udzieli mi informacji i powie mi, czy rzeczywiście pan Synteza, arcymilioner, a może arcyszaleniec, utrzymuje się dzięki idealnym substancjom odżywczym, czy rzeczywiście zamierza również podjąć próbę za pomocą swojej piekielnej metody stworzenia ziemi. Zobaczymy...!



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!